



Wydawca i redaktor: Stanisław Blotnicki.

## POWIEŚĆ.

# PIEKIEŁKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

MICHAŁ WOŁOWSKI.

(Dokończenie).

Wyrzec się jednak kobiety którą kochał, Szydłowiecki nie mógł i nie chciał się zdobyć na energją wobec opinji i stawić czoło śmieszności, której się obawiał. Rzucił się na kolana przed Janiną, błagał, prosił, ale ona odpowiadała mu zimno i chłodno.

— Pan dla mnie umarłeś.

W końcu, gdy Szydłowiecki coraz bardziej nalegał, coraz śmieszniejszym się stawał i wstrętnym zarazem, powtarzając raz jeszcze swoje:

— Nie znam pana, pan dla mnie umarłeś — pozostawiła go samego.

### XV.

Na mieście wrzała agitacja w całej pełni; plotki, potwarze, insynuacje uczciwe i nieuczciwe krzyżowały się na wszystkie strony. Wszystkich trzech kandydatów nie było widać, a ze wszystkiego

wnosić było można, że pan Józef Ślepowroński najwięcej ma szans powodzenia.

Trzaska po rozmowie z generałową zupełnie animusz stracił, zresztą cały był zajęty pojedynkiem Karola z dwoma jego potwarcami. Najczynniejszym był naturalnie p. Agenor Straszyński, którego lojalne usposobienie nakazywało czuwać nad tem, aby się jaka nie zrobiła chryja. Byłby on z całą przyjemnością agitował za Szydłowieckim ale ostatni skandal agitację uniemożliwił. Pozostawało mu tylko dwóch kandydatów: Ślepowroński i Liwski. W ostatnim widział demagoga a chociaż mu nieco popsuły szyki myśli słowa Trzaski, to jednak Marcinkiewicz umiał już naprawić wszystko i skierować wodę na swój młyn.

Agitację przerwał naturalnie na chwilę pojedynków, będący czemś niebywałem w R., czem się wszyscy interesowali mocno.

Wkrótce jednak rezultat jego przywrócił równowagę, bo gdy p. Józef w żaden sposób nie chciał się zgodzić na przyjęcie pistoletów, bito się więc na szable, a z tej walki wyszedł Bąbalewicz z kawałkiem naderwanego ucha i przeciętym prawym policzkiem.

Marcinkiewicz na placu się nie stawił, twierdząc iż nie pojedynkuje się z zasady i przez swych sekundantów przysłał na plac długi dziennikarski artykuł, który mocno oburzył p. Józefa i trochę nadszarpnął popularność znakomitego stylisty.

Bąbalewicz naturalnie jako raniony uznany został za bohatera.

W Piekielku tymczasem generałowa po rozmowie z Trzaską zdwoiła swą czynność i ostrożność.

Służba otrzymała polecenie wzbronienia wstępu Liwskiemu do bram Piekiełka, tenże sam rozkaz wydany został odnośnie do Trzaski, a Zuzia leżała chora, otoczona troskliwością ciotki, która tak dalece posuwała swą pieczołowitość, iż ani na chwilę nie zostawiała swej siostrzenicy z Janiną, obawiając się bardzo, aby ta „semancypantka” do reszty nie przewróciła w głowie jej pupilce.

Zuzia była córką suchotnicy, szczupłą, drobną, uległa wzruszeniom i powoli oczęta jej zapadły w dół, na twarz wystąpił ceglasty rumieniec a życie uciekać zaczęło z jej piersi. Martwił się tem pan Józef, martwiła Janina — a niebezpieczeństwa nie widziała tylko generałowa, której sama myśl zbliżenia się do syna wydawała się tak potworną, potworniejszą z dniem każdym, iż myśleć o tem bez gorączki nie mogła.

W tych strapieniach pocieszali ją piękna pani Szydłowiecka i p. Marcinkiewicz, pierwsza osobiście, bo po skandalu jaki popełniła, wszystkimi siłami pragnęła go zagłuszyć i rzecz naturalna, szukała w tem pomocy generałowej; drugi — zastępował ją w agitacji i codziennymi listami zawiadamiał o skutkach pracy.

Szydłowiecka potrafiła wytłumaczyć generałowej, że jest niewinną i czystą jak biała lilja. Wytłumaczyła to tem łatwiej, że w arsenale swego sprytu odnalazła sposób, któremu genialności odmówić nie było podobna. Sposób ten był bardzo prosty, choć równie jak prosty i nikczemny.

Posądzano ją, jak rzeczywiście było, o skandaliczny romans z Drzyńskim. Kombinacja prosta, jeśli Drzyński okaże miłość dla kogo innego, jeśli ona tę miłość i matrymonialne zamiary popierać będzie, każdy uwierzy, że jest tylko przyjaciółką hrabiego i o skandal jej podejrzyc nie będzie. Takie rozumowanie wywołało ten skutek, iż w głowie pani Szydłowieckiej zrodził się projekt ożenienia hr. Drzyńskiego z Zuzią. Znała dobrze generałową, jej arystokratyczne aspiracje, i aż nadto dobrze wiedziała, że rzucona myśl przyjmie się tam doskonale i znajdzie poparcie. Zuzia w tych jej kombinacjach nie odgrywała żadnej roli. Wszystko jej zresztą było jedno, przyjmie lub nie przyjmie Drzyńskiego, byle tylko zainstalowanym został na konkurenta.

Trudniejszą dla niej była sprawa z Drzyńskim i skłonienie go do projektów. W każdym razie był to zdebuszowany hrabia, ale pojęcie o honorze posiadał. Nawet jego zblazowanej naturze wydała się taka komedja wstrętną.

Co to jednak obchodziło piękną i namiętną kobietę. Uczyniła ona z nim to, co z cytryną, wcisnąwszy, chciała się pozbyć i wyrzucić na śmiecie.

Drzyński musiał być przez nią tak steroryzowanym jak wszyscy inni. Ujrzała w nim ślady poczucia honoru, w tę więc uderzyła stronę.

— Tu idzie o mój honor — zawołała — panie. Zresztą i na cóż się pan skarżyć możesz, zostaniesz konkurentem panny młodej, dobrze wychowanej a nadewszystko dobrze uposażonej, której posagiem oczyścisz swój ekstrakt tabularny. Gra warta starania.

Pan hrabia się wahał przez czas niejaki, gdy jednak doszły do jego uszu dwuznaczniki à propos jego wycieczki z Szydłowiecką, na propozycję się zgodził i plan zatuszowania całej sprawy przyjął...

Najsmutniej w tej sprawie wyglądał p. Józef. Generałowa zyskała taką powagę w jego umyśle, że jak automat chodził, mówił, był jej posłuszny a choć czasem odezwała się jego pocziwa natura, to perswadował sobie, że pewnie się zestarzał i że prądów czasów nie rozumie i skłaniał głowę pod jarzmem, do którego z dniem każdym coraz to więcej się przyzwyczajał.

Wszystko więc w R. powracało do dawnego porządku, wszyscy chodzili wedle nuty generałowej a w pokoiku Zuzi tylko coraz to duszniej było i coraz smutniej.

Jedną osobą, która rozumiała sytuację była Janina, ale i jej serce tłoczył smutek zawiedzionych nadziei i ona potrzebowała czegoś, coby ją z tej apatji wyprowadzić było zdolne, a tymczasem siedzieć musiała przy łóżeczku chorej, która ku niej bezustannie zwracała swój wzrok pytający jakby chciała wieści o nim posłyszec.

Karol się nie pokazywał. O powodach tej obojętności rozmaite robiła przypuszczenia Janina. Przedewszystkiem zdawało się jej, że przyczyną tej nieobecności Karola przy tej którą kochał, jest — ambicja, która w takiej chwili nie umiała wyszukać drogi ratunku. Potem analizując wszystko, co się stało na balu i przypuszczając w całym skandalu robotę generałowej, jej przypisywała to stanowisko Karola, wreszcie po długich rozmyśleniach gdy i sama czuła potrzebę zwierzenia się przed kimś z tem co jej dolega, Janina postanowiła rozmówić się osobiście z Karolem i w tym celu wezwała go listownie.

Do postanowienia tego zagniło ją i to także, że od pewnego czasu zauważyła widoczną protekcję hrabiego, konszachty Szydłowieckiej z generałową i widoczny zamach na szczęście jej pupilki.

Karol dopiero od Trzaski dowiedział się co się dzieje w dworku, list Janiny objaśnił go do reszty. Rzecz prosta, iż nie zastanawiał się ani na chwilę, rzucił wszystko i znalazł się znów w brannie

tego »piekiełka«, z którym tak silnie związanem było jego szczęście.

I tym razem odprawionoby go może ode drzwi, gdyby nie Janina, która na ganku domu czekała na niego.

— A jesteś pan przecie — zawołała ujrawszy wchodzącego — czy godziło się tak długo nie pokazywać się tutaj. Zuzia tak pana pragnęła widzieć, choroba jej groźna, z każdym dniem życie ucieka z jej piersi. Miałabyś pan o tem zapomnieć, że to życie tak ściśle związane jest z panem?

— Pukałem tutaj i nieraz — odparł z goryczą Karol — ale mnie nie przyjęto. P. Ślepowroński ujrawszy mnie na ulicy, widocznie unikał, myślałem że i ona poszła za głosem potwarcy i ona odwróciła się odemnie. Trzaska dopiero objaśnił mnie o istotnym stanie rzeczy i za jakąbądź cenę chciałem tutaj się dostać, gdy właśnie otrzymałem list pani, w którym piszesz mi, że i sama cierpisz.

— O tak panie, czy ja to wszystko powieść ci będę mogła?

Tu Janina ujęła pod ramię Karola i poprowadziła w głąb tego samego ogrodu, w którym tyle w ciągu ostatnich czasów przemarzyła i przeboleła.

Rozmowa szła im żywo, zapomnieli o świecie całym a przejęli się się tylko własnymi bólami.

Tymczasem w pokoiku Zuzi od samego rana zapanowała dziwna atmosfera. Niebezpieczeństwa, jakie groziło temu wątłemu dziecku, nie widziała ani jenerałowa, ani p. Józef; widzieli doktorzy, ale ci, jak zwykle, uważali za stosowne nie odślaniać go przed rodziną.

Jedna Janina przeczuwała co się święci, rozumiała całą groźbę sytuacji. Zuzia niknęła prawie w oczach, ślady krwi na chustce i kaszel dowodziły, że z tych młodych piersi ucieka życie.

Właśnie gdy Karol rozmawiał z Janiną, odezwała się cicho do czuwającej przy niej jenerałowej:

— Otwórzcie okno, poproś mi ciociu tatuńcia, tutaj tak duszno, otwórzcie mi okno.

— Moje dziecko, kaszlesz, możesz się zaziębić — zaprotestowała jenerałowa.

— Nie sprzeciwiaj mi się ciociu, ja czuję, że mi już nie wiele życia pozostało, proszę zawołaj ojca.

Pan Józef przybiegł natychmiast przestraszony, wylękły i z oczyma pełnemi łez przypatrywał się twarzyczce chorego dziewczęcia.

— Tatuńciu — szeptała Zuzia — daj mi swą rękę, powiedz mi otwarcie, szczerze, czemu go tutaj nie ma przy mnie?

— Kogo? — spytał niespokojnie p. Józef.

— Ach, czy nie wiesz tatuńciu, jego... pana Karola.

Przykre wrażenie zarysowało się wyraźnie na twarzy poczciwego szlachcica, gdy usłyszał pytanie Zuzi. Wskazywało ono, że w sercu dziewczęcia nie zgasły płomienie pierwszej miłości, a mimo całego swego przywiązania dla Zuzi, p. Józef nie umiał zdusić w sobie szlacheckich przesądów, pozbyć się wstętu jakim one napełniały jego umysł względem podrzutków.

To przykre wrażenie zauważyła Zuzia, uśmiechnęła się łagodnie, rączkę ku ojcu wyciągnęła i szepnęła z cicha:

— Ach! nie gniewaj się tatuńciu, szczęście moje skończyło się, jak umknie niezadługo życie. Ostatnia to moja prośba, czuję że niedługo już pozostanę tutaj na ziemi z tobą — z wami. Chciałabym go ujrzeć, zobaczyć, pożegnać. Nie odmawiaj tej mojej prośbie.

— Ależ co mówisz dziecko — zawołał wzruszony p. Józef — tobie się życie uśmiecha, jesteś jeszcze młoda, pełną życia, niebezpieczeństwa żadnego nie ma, zobaczysz go jeszcze nie raz — ale tyś się.

Zuzia znów się uśmiechnęła i uparcie powróciła do swojej pierwszej myśli.

— Ach, tatuńciu, nie łudźmy się, spełnij moją ostatnią prośbę zaraz, natychmiast — jak mnie kochasz, nie uważaj na to, co o tem będzie mówić ciocia, takiś dobry był dla mnie przez całe życie, bądź dobrym i przy jego końcu. Poślij zaraz po niego, każ mu powiedzieć, że mi pilno, bardzo pilno, że na niego czekam.

Prośba była tak energiczna i stanowcza, choć wypowiedziana choremi piersiami, że Ślepowroński uznał za niemożliwe jej się opierać. Wyszedł z pokoju, ubrał się i sam postanowił udać się do Karola, gdy — jakby na zawołanie ujrzał go spacerującego z Janiną po ogrodzie.

Pobiegł więc ku niemu, szybko za rękę schwył i szepnął:

— Chodź.

— Gdzie? — było zapytanie.

— Do niej — brzmiała odpowiedź — ona prosi.

Karol nie zawahał się ani na chwilę, zrozumiał kto go przywołuje i poszedł za p. Józefem. Jenerałowej nie było w pokoiku Zuzi.

Weisnęła się doń za Karolem i Ślepowrońskim — Janina.

Karol znalazłszy się w obce chorego dziewczęcia, skamieniał na widok tej twarzyczki bladej i wynędzniałej, która w niczem nie była podobną do świeżej i rozwiniętej, niby palma, z przed paru tygodni Zuzi.

Dziewczę uśmiechnęło się do niego i wyciągnęło rączkę.

I nagle ten człowiek żelazny, ten pionier no-  
stępu, ten demokrat, jakby pod dotknięciem ele-  
ktrycznego prądu rzucił się na kolana przed łóżkiem  
tej, która mu oddała serce.

Zuzia zarzuciła mu jedną rączkę na szyję,  
wzrok zamglony utopiła w jego oczach i szepnęła:

— Przyszedeś, ja cię kochałam, zawęz, nie  
zapomniałam o tobie, nikt mnie nie zdołał prze-  
robić, patrz — dogorywam, a kocham ciebie.

Karol rozumiał ten głos i pojął, że on nie  
długo dźwięczyć będzie na ziemi, w oczach mu po-  
ciemniało, mówić nie śmiał a tylko namiętnie  
schwyił rękę Zuzi i całował ją gorąco. Ona swej  
rączki nie zdejmowała mu z szyi, powoli powieki  
leniwie przysłaniać poczęły jej oczy a siły widocznie  
ją opuszczały. Pasować się zdawała z tem nie-  
przepartem prawem natury, które się nazywa śmiercią.

Wzrok jej nie chciał już być posłusznym  
woli, usłuchały jej jednak usta.

— Gdy mnie zabraknie tutaj — szepnęła —  
pracuj, praca wypełni ci życie.

I jeszcze przez chwilkę poruszała ustami, je-  
szcze przez chwilę falowały jej piersi przyspieszonym  
oddechem, aż w końcu zamilkły. Karol zrozumiał,  
że życie jego ukochanej uleciało.

W pokoiku zapanowała cisza śmiertelna, gro-  
bowa, której nikt przerwać nie śmiał.

Pan Józef nie spodziewał się tego nieszczęścia,  
nie przypuszczał go, to też gdy Karol ułożywszy  
rękę Zuzi na piersiach podniósł się z kolan i ze  
łzami spadającymi obficie po licach zawołał: Już  
koniec, umarła — jak dziki zwierz raniony rzucił  
się na ciało nieszczęśliwego dziewczęcia.

— To twoje dzieło — zawołał do wchodzącej  
na krzyk i gwar jenerałowej.

I teraz dopiero rozpoczęło się prawdziwe pie-  
kiełko w życiu głównych bohaterów naszego  
opowiadania.

Jakby dla kontrastu tymczasem w parę minut  
po śmierci Zuzi rozległ się okrzyk wśród miasta:

— Niech żyje nasz nowy poseł, pan Józef  
Ślepowroński.

Tryumfowała głupota ludzka a niewolnicze  
konwenanse zrobiły swoje.

W parę dni po pogrzebie wracali do Lwowa:  
Karol, Janina a z nimi i Trzaska. Ten ostatni był  
niespokojnym duchem na partykularzu, za pośred-  
nictwem więc p. Marcinkiewicza umiano mu wy-  
robić dymisję.

Karola znają dobrze roczniki parlamentaryzmu  
galicyjskiego, spełnił on rozkaz Zuzi i życie całe  
pracy dodatniej w społeczeństwie poświęcił. O pier-  
wszej miłości jednak nie zapomniał nigdy i serca  
swojego nikomu już nie oddał. Pensja Janiny tylko

widywała go bardzo często, przybiegał on tam, aby  
podzielić się smutkiem z towarzyszką lat dziecin-  
nych, która także równowagi w życiu odnaleść  
nie mogła.

P. Józef godności poselskiej nie przyjął, stracił  
zwykły swój humor, majątek sprzedał i w mieście  
smutny osiadł.

Błyszczały tylko taktem i cnotą wśród sfer  
wysokich piękna pani Szydłowiecka i jenerałowa.  
Nic im i nikt do zarzucenia nie miał, a przecież  
one to właśnie pracowały i pracują na stwarzanie  
takich i piekieł i piekiełek w życiu.

A ileż liczymy ich w krótkiej naszej wędrówce  
życia.

## POEZJA.

### Z WIZYJ.

A. Lanęgo.

#### XII.

Witajcie mi, wy, życia wzburzone kaskady,  
W waszych szumów symfonjach tyle tonów dźwięczy,  
W waszych fal wodotryskach tyle barw łśni tęczy,  
Że biegnę do was tęskny, rozkochany, blady,  
Niby duch czillońskiego więźnia potępienicy!  
Jam tak do bezustannej przywyknął zagłady  
Moich mar niepochwytnych, żem pokochał jady  
I dumny stoję w gwoździu nabitej obręczy!  
Gdyby przyszedł duch jaki z nadśłonecznej sfery,  
Któryby chciał w niebytu unieść mię etery  
I potłuc na mej drodze sfinksy krwi spragnione.  
Możebym nie chciał rzucić tych murów więziennych  
I nie chciał rozwiązania tajń wiekonieziemnych,  
I dalej nosić wolał cierniową koronę!

#### XIII.

Idźcie więc, mary grobów, skądeseście wybiegły!  
Być czy nie być? nie znają tych zwątpień tytany.  
Być — i walczyć — i cierpieć — i kochać swe rany!  
I cóż, że szpony sfinksów piersi nam rozżęgły?  
I cóż, że znów bastylj odrastają cegły?  
Stokrotnie powalony — stokrotnie poległy,  
Ja znów do boju wstanę — ja, niepokonany!  
Ja sfinksom zduszę gardła, ja bastylie zburzę,  
Ja piorun wydrę niebom, w głębie się zanurzę  
Mórz i na ich orkanach postawię latarnie!  
Na niedosiężnym szczycie utkwię głąz Syzyfa,  
I duch mój unoszony skrzydłem hippogryfa,  
Głębie najdalszych kresów rozgramię!

## XIV.

Nikła ty protoplazmo, niewidzialny pyle,  
 Głuchej nieskończoności nicozemny atomie,  
 Ku bezcelowej trumnie gnany nieświadomie.  
 Tyż-to ufasz zuchwale swej bezwładnej sile?  
 Cheesz przeważyć Ananke w jej wieczystym gromie?  
 Zmienić orbity globów w wszechświatowej żyłce?  
 Nadać kształt lazurowy społeczeńskiej bryle  
 I przeniknąć wewnętrzną duchów anatomję?  
 Pchnięte w nieskończoności krwawe widnokregi,  
 Dziecię ślepych przypadków! Bezwiednej potęgi  
 Ślepotą na glob nagi rzucone narzędzie:  
 Człowieku, czyż potrafiać tve spotniałe pięście  
 Zdożyć sobie nie prawdę już, lecz tylko szczęście,  
 Przez które żaden z braci twych płakać nie będzie?

## XV.

Czy potrafisz umierać wciąż, bezostatecznie,  
 I znów zmartwychpowstać, zanim trzy dni miną,  
 I nowe stawiać gmachy nad dawnych ruina,  
 I złote rzucać baszty w zamglone powietrznie?  
 Otoczony dojrziałych win bujną gestwiną,  
 Czy potrafisz, jak Tantal, głody znosić wiecznie  
 I, jak Syzyf, gór szczyty deptać, bogom sprzecznie,  
 Aby zawałnąć głazów bezmyślną lawiną?  
 I, patrząc w blask słoneczny, ślepnąć jak Edypy,  
 Co sfinksom przerywają ludożerze stypy,  
 By nowe mroki pytań ujrzeć nad ich trupem?  
 Lub, jak Orest, okryty maską śmierci kłamną,  
 Jako mściciel przed matką stanąć krwawoplanną,  
 Aby potem Erynijs być wieczystym łupem?

## XVI.

Gdzie mój kres? Kiedyż z dróg mych usunę te miazmy,  
 Co trawiają moją istotę najstraszniejszym z głodów,  
 Głodem doskonałości, i z północnych lodów  
 Pchają mię w południowych niebios entuzjazmy?  
 Czemu śród chimerycznych płoną mi ogrodów  
 Takie życiem i prawdą tęczowe fantazmy,  
 Że duszę mi wstrząsają dzikich czynów spazmy,  
 Od których drżą złoczone pałace feodów?  
 Czyż raz jeden tworzyłem, aby zważyć w złomy  
 Ołtarze, republiki, kolumny Vendomy,  
 I pomniki z marmuru, i rapsodów karty?  
 Nie będzie nigdy dzieło moje wiecznotrwałem,  
 Nigdy tym wypieszczonym moim ideałem,  
 Co w piersi wieczną klątwą pragnień tkwi rozilarty?

## XVII.

Gdzie ty jesteś, bogini? Z oddali bezmiernej  
 Ja widzę twoją postać, jak miraż powiewną,  
 I im bliższą cię sądzę, tem więcej niepewną  
 Mgłą otacza cię błędów mych całun misterny.  
 Gdzie jesteś, czarodziejko, bogini, królowno,  
 Życiodawczy uwodny duchu ty krwiożerny,

Cudotwórcza, stugłowa, wieczna hydro Lerny,  
 Syreno, co mię negisz w Scyllę grobów śpiewnych?  
 Szukam ciebie mej duszy treścią nieśmiertelną,  
 Szukam cię mej istoty istotą subtelną,  
 Mną myślą, technieniem, żądzą, łzami, krwią i czynem!  
 Czyż nigdy tej Danaid beczki nie wyczerpię.  
 Czyż zawsze zapominać będę to, co cierpię,  
 Z przekleństwem nad mej własnej duszy stojąc synem?

## XVIII.

Otom posąg wykował z bielizny marmurów,  
 Co w duszy drgał mi życia nieśmiertelnem tętnem,  
 Do któregoś wyrwał się z dreszczem namiętnym,  
 Aż zabłysnął linjami najczystszych konturów.  
 Patrzałem nań z miłością. Ale naraz wstąpił  
 Stał mi się ten syn duszy mojej śpiewnych chorów;  
 Więc, że nie doścignął myśli mej twórczych lazurów,  
 Pierś mu rozbiłem ciosem topora doszczętnym;  
 Zgiń, ty, nieprawo synu myśli mej potworno! —  
 Oto znów czuję w łonie jakiś wir niesforny,  
 Który pcha mię, by nowe układać miraż.  
 Stworzę nowe posagi i nowe rapsody,  
 W nowych szczęścia ułudach rozkochane grody,  
 Nowe arki tryumfu i nowe ołtarze.

## RUCH NAUKOWY.

## Język powszechny.

Każda nowa myśl ma dla tłumu oblicze, albo potwora, albo błazna, przeraża lub śmieszy. Bawiono się też z wynalazkiem Jana Marcina Schleyera serdecznie, a gama uciechy szła przez najrozmaitsze tony — od parskań dziewczątek chichotliwych, aż do tubalnego pohukiwania podpór społeczeństwa. Schwytano instrumenciek, przed którym pryskała najposępniejsza powaga. Volapük! Ha, ha, ha! Dotąd jeszcze po kątach pism perjodycznych reporterzy wyprawiają sobie z niego wesele. Bo volapük ukazał naprzód światu twarz błazna.

Jego rodzic patrzył na ten uragilny taniec wywieszonych języków około drogiego dziecka z bolesnym żalem, dzieląc się z nim, jak i nędznym chlebem księżej emerytury, ze starym ojcem i siostrą. Biedny kaleka wierzył, że nie spłodził głupstwa, ale przykro mu było, że żartownisie otwierali mu gościnnie drzwi domu... obłąkanych. Odpocznij tam — wołano — szanowny czarodzieju, który wrzuciłeś do tygla 60 języków i wysmarzyłeś w nich homunculusa mowy ludzkiej — mowę wszechświatową — Volapük! Ha! ha, ha!

Niema jeszcze ośmiu lat, jak ks. Schleyer wystąpił ze swym pomysłem — to nawet dla naszej

epoki oświeconej przeciąg czasu za krótki do zupełnego wyśmiania się. Więc kocia muzyka dla Volapüku jeszcze brzmi, ale już cichnie, a jednocześnie wzmagają się chór rozumowań istotnie poważnych. Bo dzisiejsza tortura śmiechu trwa krócej, niż dawniejsze tortury ognia lub kleszczów. Zastosowanie telefonu w średnich wiekach kosztowałoby parę tysięcy ofiar; dominikanie z jezuitami sądziliby i palili heretyków przez dziesiątki lat — w naszych czasach podrywano trochę z niemiecko-amerykańskiego konceptu i zaczęto go wprowadzać w całym ucywilizowanym świecie. Dziś mównik elektryczny jest niemal w powszechnym użyciu.

«Język powszechny» dotyczy nie samego pożytku, lecz potracą o wiele uczuć, z którymi zawsze sprawa trudna. Skutkiem tego wsuwał się powoli do życia, ale wszedł.

Osamotniony, ośmieszony jego twórca doczekał się wreszcie chwili tryumfu, który coraz bardziej rośnie, potężnieje, aż wreszcie uciszy kiedyś wrzawę szyderczą. Od pewnego, niedawnego dnia zaczęły do marzyciela płynąć listy, telegrafy, pozdrowienia i objawy czci. Krąg nowej idei rozszerzał się. W samych Włoszech zawiązano 8 stowarzyszeń, a wogóle około 120. Liczba wyznawców Volapüku przeszła już 200,000, a używa go dziewięć pism (w Kostancji, Wiedniu, Monachium, Wrocławiu, Paryżu, Medyolanie, Aalbergu, Portorico). Oświadczyło się za nim wielu znakomych uczonych: słynny językoznawca Max Müller (Oxford), profesor uniwersytetu w Halli A. Kirchoff i inni. R. 1885 odbył się pierwszy zjazd volapükistów w Friedrichshofen, drugi w Monachium zeszłego miesiąca. Wykłady A. Kerckhoffa w Paryżu, gromadziły po kilka tysięcy słuchaczy wszelkich sfer. Niektóre wielkie zakłady handlowe wykształciły swoich oficjalistów w języku powszechnym. Właściciel słynnych »Grands Magasins de Printemps« zamówił lekcje dla 121 swoich podwładnych i obecnie na drzwiach jego sklepów czytać można napis: »Volapükon« (mówi się volapükem). Za tym przykładem poszły inne wielkie miasta Francji i Niemiec. W Wiedniu za zgodą ministra urządzono kursa w uniwersytecie i szkole technicznej.

Ale co to jest i na co? — zapytacie.

Sama idea nie nowa. Zrodziła się ona już w głowie W. Leibniza, wskrzeszali ją potem inni uczeni w XVII i XVIII wieku. Wszyscy usiłowali różnojęzyczny Babel ludzkości w stosunkach zwykłych i koniecznych sprowadzić do jednej wspólnej i łatwej mowy. Dotąd bądź skutkiem międzynarodowej zawiści, bądź też skutkiem trudności nauczania się jakiegokolwiek języka obcego, z całym jego ogromem słownikowym i powikłaniami gra-

matycznymi, nie mógł żaden stać się organem powszechnym. Dla pogodzenia więc pretensyj i ułatwienia nauki należało stworzyć taki, któryby był esencją wszystkich, a jednocześnie zawierał możliwe uproszczenie form. Warunkom tym odpowiada Volapük, który w słowniku zgromadził pierwiastki wspólne językom europejskim, a w gramatyce reguły najprostsze, naturalnie pozbawione wszelkich wyjątków. Dzięki temu dwoje ludzi obcych narodowości może po kilku dniach nauki Volapüku rozpocząć z sobą korespondencję.

Na ustach czytelników moich drży niespokojne pytanie, któremu tu odpowiem: więc mamy się wyrzec języka ojczystego dla jakiejś sztucznej mieszaniny? Przenigdy! Ani swego, ani ważniejszych innych. Volapük przez swe nadzwyczajne zmniejszenie środków i uproszczenie postaci mowy; nie może być językiem literatury i wkraczać w życie rodzinne narodów. On tylko pragnie ułatwić im porozumiewanie się w stosunkach praktycznych: handlowych, towarzyskich, uwolnić ludzi od wzajemnej niemoty lub potrzeby uczenia się mnóstwa gramatyk i słowników. Jeżeli wszyscy ukształceni go przyjmą, każdy z tym kluczem objędzie kulę ziemską i wszędzie usta cudze dla siebie, a swoje dla innych otworzy.

Jak sama idea jest godną przyszłości, dowodem nietylko jej liczni wyznawcy, ale i reformatorowie. Ukazała się ona w odmiennym kształcie i na naszym widnokręgu. Dr. Esperanto wystąpił z polskim wykładem innego Języka międzynarodowego (Warszawa, 1887), również prostego i zredukowanego. Słownik zawiera tylko 900 słów, gramatyka łatwa, a cała nauka wymaga kilku godzin. Twórca zaprasza do niej wszystkich i prosi o nadesłanie mu obietnicy piśmiennej, że każdy wyuczy się tej mowy, jeśli 10 milionów ludzi złoży także przyrzeczenie. Nadzieja płonna, a przedsięwzięcie chybienia celu. Skoro bowiem już istnieje znacznie rozpowszechniony Volapük, świat go nie rzuci i do nowego języka powszechnego nie przejdzie. Jeśli autor sądził, że jego wytwór jest doskonalszym należało go przedstawić w towarzystwach i na kongresach volapükistów i tam pozyskać uznanie. Ogół wezwany do »głosowania powszechnego«, zawsze oświadczy się za tym językiem, który już ma licznych wyznawców.

Pragnęlibyśmy, ażeby ich zastęp pomnożyli i nasi czytelnicy. Profesor historii w szkole politechnicznej w Reggio. A. Ferretti powiedział niedawno, że imię Schleyera zapisane będzie w księdze historii złotymi głoskami. Niema w tem zdaniu przesady. Idea języka powszechnego zwycięży i w zbrataniu narodów odegra ważną rolę. Jeżeli

dplomacja i kościoł posiadają taki język, czemużby go nie miała posiadać ludzkość cała?

## Polska z czasów przedhistorycznych

pod względem

fizjograficznym i gospodarskim.

Rzecz czytana na publicznem posiedzeniu Akademii umiejętności w dniu 21. maja 1887 r. przez *Dra Józefa Rostafińskiego*.

(Dokończenie).

Zresztą — żeby już skończyć z kupią — zaznaczyć należy, że te sasanidzkie monety, a zwłaszcza późniejsze bizantyjskie mitkały, rozrzucone w znacznych ilościach po naszej ziemi, świadczą, że i o srebro nie było tak u nas trudno. Przychodziło ono nie tylko drogą handlową, ale i z tych wypraw w sąsiednie strony, które zwycięzey Piastowice z swą doborową drużyną zdawien dawna wieść musieli.

Tak żyło i gospodarowało to społeczeństwo w patryarchalnym systemie, którego głową był książęcy ród Piastów. Nasze opowiadanie odnosi się do tej doby, w której się już miało pod koniec starożytnemu pogaństwu. Kto z nim trzymał na lechickiej ziemi, ten skazany był z góry na zagładę, wobec fałszywego apostołstwa germanów, którym, pod pokrywką nawracania, chodziło tylko o ucisk słowian i zabór ich ziemi.

Rok, w którym Mieszko z pobratymczych Czech wziął światło wiary, był najdonioślejszym i najmędrszym czynem Piastowica. Dawał mu moc krzyża, cywilizację, która szła za nim, a chronił lud jego od zniemczenia. Już syn jego był najpotężniejszym panem na Wschodzie, do którego cesarz przychodził w gościnę, uznając jego potęgę, a zdumiewając się jego bogactwem.

Dziki październik, napojony oliwą chryzmatu, tlił się coraz żywiej, i po kilkowiekowej pracy zaczął sobie przyswajać wszystkie zdobycze zachodniej cywilizacji. Wtedy przychodzi z chrześcijaństwem, jak to już bystro zauważył w swej pracy o klasztorach w Polsce prof. Małeckie, znaczna część dziś jeszcze hodowanych roślin. Wtedy postąpiło i rolnictwo z Zachodu, z rzymskiego szczepu przychodziło do nas jego ulepszenie.

Coraz większe przestrzenie zajmował pług polski. Już przekroczył graniczne ukraińskie mazurskie, już zaszedł na jadrzyńską ziemię, już zmierzzał ku Czerwonym grodom. Aż wreszcie zapłonęła Polska światłem cywilizacji i niosła je w dalekie strony. Niewątpliwie, jak dla młodego w kulturze narodu, zbyt rychło, bo to rozproszenie

sił nie pozwoliło się jej we własnym środku naleźćcie skupić i zjednać.

Nasz rozwój jest gwałtowny i tem samym nienaturalny. Przyczynia się do tego niepomiernie w XV wieku fakt, który nie tylko dla naszego gospodarstwa ale i dla całego społecznego życia jest najdonioślejszego znaczenia: fakt zdwojenia się świata — odkrycie Ameryki. Oddziaływa on przez bogactwo metalicznego złota, które wnosi, na rozwój niebywały przemysłowy, przedewszystkiem Niderlandczyków i Anglii. Pod tym wpływem, oraz skutkiem rozwoju handlowych stosunków, zamienia się już w XVI w. Anglija na sztuczny paśnik; a hodowla zwierząt domowych na wełnę i mięso dla przemysłowych centrów zastępuje uprawę zbóż, podciągając, podobnie jak w Niderlandach, potrzebę sprowadzenia go w wielkiej ilości z za morza. Wtedy spichrzem tych krajów staje się Polska. Ceny zboża idą pozornie w górę, bo pieniądz tanieje; jak u nas, co najmniej o piątą część swej pierwotnej wartości, a szlachta rzuca się w niebywały sposób do rolnictwa, sadzenia na krańcach rzeczypospolitej tysięcy wsi i miasteczek. Wówczas znów zyskujemy nowe rośliny hodowli, ale poziom rolniczej sztuki mało się podnosi; stoi ono po dawnemu wyłącznie doświadczeniem kmiecia i rozwija się przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, ekstenzywnie. A złowrogim następstwem takiego rozwoju jest zupełne ujarzmienie kmiecia.

Wtedy u szczytu państwowej potęgi dochodzimy w społecznym rozwoju zaledwie do form, które się już przeżyły w Europie. Wówczas występuje u nas taki ustrój, który z wszelkiem zastrzeżeniem, przecież można nazwać feudalizmem. Nie jest to feudalizm, jaki znamy, w jego naturalnem i logicznem rozwinięciu na Zachodzie, ale taki, na jaki nas stać było, ze względu na naszą cywilizacyjną młodość. Zawsze to jednak, żeby go tak nazwać, feudalizm, bo dopiero wówczas staje się kmieć zupełnie i prawnie zależny od swego pana, ten faktycznie od potężniejszego sąsiada, który ze swej strony ogląda się na wszechwładnego magnata. Magnata, który żywi na swym dworze cały rój szlacheckich synów, a wpływami swymi otacza ich ojców opieką wobec prawa czy bezprawa. A na szczycie król z całym pozornym majestatem, a przecie z cieniem tylko władzy, bo już całkiem od możnowładców, niby pierwszych wasalów, zależny.

Pod koniec panowania Władysława IV. dochodzi rolnictwo polskie, a zarazem i bogactwo narodowe do szczytu swego rozwoju. Poczem następuje wiek nieszczęsnych walk domowych i najazdów, przez które kraj zostaje bezmiernie spustoszony. Świeżo zdobyte niwy znów zarastają lasem

lub dziką roślinnością, a wyludniony kraj nie może przywrócić rolnictwu niedawnej jego rozległości. Powstrzymuje należyty rozwój rolnictwa i upadek umysłowy szlachty, która ze szkół jezuickich wynosi skażony makaronizmem język i spaczony wyobrażenia: że sama jest narodem, że przysłało jej mieć bezgraniczną wolność. Teraz łatwiej już o hetmana niż o żołnierzy, którymby mógł przewodzić. Pod koniec tej epoki doszło i gospodarstwo do opłakanego stanu. Jakże inaczej miało się stać, jeżeli właściciel ziemi nie miał wyobrażenia o postępie rolnictwa na Zachodzie, a zubożony i spodlony niewolą kmieć, nie mogąc się już niczego dla siebie dorabiać, zatracca też dawne tradycje względnie dobrego gospodarstwa.

A kiedy otumaniony naród przychodzi pod koniec zeszłego wieku do opamiętania się, wtedy zaczynają się objawiać usilne starania o podniesienie gospodarstwa. Wówczas też podczas sławnego czteroletniego sejmku, dążącego do poprawy złego, wysuwa się na pierwszy plan, niby echo sejmowych dążeń XVI w., potrzeba reformy władzy i karności w narodzie. Nie z naszej winy zaprawdę nie przyszło na razie do zbawiennych reform. Ale otrzeźwiony naród, pomimo zmiennych kolei, zaczyna się dźwigać na wszystkich polach.

Wprowadzenie ziemniaków i buraków na cukier otwiera nowy perjod rolnictwa. Dźwiga się ono w bieżącym wieku powoli: znakomicie w Poznaniu, dobrze w Królestwie, dzięki marymonckiej szkole i rozbudzeniu w obu prowincjach poczucia: że rolnictwo jest dziś nauką, której się przyszły rolnik koniecznie musi uczyć; najpowolniej w Galicji, bo tu i dziś najmniejsza jeszcze świadomość potrzeby nauki rolniczej. Dubliny, jedyna wyższa szkoła rolnicza, rolniczego kraju, próżno czeka na szlacheckich synów, którzy bez tej wiedzy, którą im dać może, nie zdołają nigdy zwyciężko współzawodniczyć z nowożytnym rolnictwem nie po staremu na kmiecem doświadczeniu stojącym, ale na stosowaniu przyrodniczych i ekonomicznych umiejętności.

W całym jednak narodzie tkwi, utwierdza się i rośnie zrozumienie, że nietylko na polu materialnego rozwoju należy nam zawracać do chlubnych tradycji środka XVI i końca zeszłego wieku, ale i na społecznym.

## Wspomnienia więźnia

(1876 — 1885)

spisał

*Florjan Bohdanowicz.*

(Dokończenie).

— Pamiętajcie psy — wrzeszczał rządcą więzienia do dozorców — że za wypuszczenie przestępcy stanu chociażby za próg celi oczekuje was chłosta i katorga. — Pogrożki te atoli były grochem rzucanym o ścianę, skoro tylko rządcą wyszedł za bramę, nasz odźwierny otwierał natychmiast drzwi kazarmy oznajmiając ze stary pies załazł do budy.

Nieobeznanemu z miejscowymi stosunkami trudno bo też mieć pojęcie o transportowych więzieniach sybirskich, które dla przestępcy rosyjskiego nie obwiniającego się nigdy o spełnienie czynu zbrodniczego, lecz tylko o niezręczne wykonanie go, stanowią pewien rodzaj hotelów urzędowych, w których on szuka rozrywki, zawiera stosunki znajomości i obmyśla środki do rychłej ucieczki.

W ogóle położenie przestępcy w Rosji, gdzie zbrodnia zjednała sobie prawa obywatelstwa, jest mniej ambarasownem niżeli w innych państwach Europy. Społeczeństwo rosyjskie zapatrujące się na zdrożności ludzkie okiem tolerancji chrześcijańskiej, nie odrzuca przestępcy pogardą i nienawiścią, darząc go nawet jako przedmiot godny politowania skromną jałmużną.

W obec sądownictwa i administracji rządowej zbiorowy przestępca stanowi korporację wprawdzie zdrożną, ale tem nie mniej konieczną do exystencji państwowej. Zapatrywanie to jest poniekąd słusznem. Biorąc rzecz pod ściślejszą rozwagę, przestępstwo jest podwaliną, na której się wspiera cała budowla sądownicza. Wszakże zadaniem prokuratorji nie jest jakby to pozornie zdawać się mogło tępienie zbrodni, ale przeciwnie jej podtrzymywanie i mnożenie. Prokurator bez przestępcy, to lekarz bez pacjenta, to głodny bez chleba. Nieobecność zbrodni przy dzisiejszym ustroju społecznym jest pojęciem czysto abstrakcyjnym. Bo i przedstawmy sobie jakąś szczególną chwilę, w której dzięki jakimś wpływom moralnym i zmianie stosunków ekonomicznych, część zdrożna społeczeństwa stanowiąca właściwego zbiorowego przestępcę okaże się nieobecną. Czyż i w tym razie można przypuścić, że ławy oskarżonych będą próżne? Nie! To rzecz wprost niemożliwa. Przestępstwo i sądownictwo to są dwa bieguny, dwa końce osi, na której się obraca bryła społeczna.

Znieść przestępstwo w Rosji dostarczającej każdorocznie muron więziennym 200.000 rucho-



nych lokatorów, z których rozlewa się po całej Syberji 10.000 armia, to znaczy naraz pozbawie chleba kilka tysięcy osób stanowiących sądownictwo, administrację więzienną i komendy etapowe.

Expedycje partyj aresztanckich z Rosji na Syberję odbywają się w ciągu całego roku. W tym celu na wielo-tysięco-wiorstowych przestrzeniach przy głównych gościuicach, ustanowione są w odległości od 20 do 30 wiorst stacje etapowe. Tutaj obok budynku więziennego znajduje się odpowiedni lokal dla komendy etapowej składającej się z komendanta i czterdziestu do pięćdziesięciu żołnierzy.

W miastach gubernialnych więzienia są zbudowane na kilka tysięcy ludzi. W Tomsku osada podobna składała się z wielu parterowych ogromnych, drewnianych nieprzedzielonych ścianami i zaopatrzonych żelaznemi kratami budynków, zwanych kazarnami. Prócz tych znajdował się dom kancelarji więziennej, dość wielka cerkiew, apteka, lazaret, kuchnia, a wszystko razem obwiedzione trzyszątniowej wysokości palisadą.

W dalszym ciągu mego opowiadania niejednokrotnie zmuszony będę potrącić kwestję instytucji więziennych, obecnie idąc za biegiem zdarzeń notując przybycie w tym czasie do więzienia tomskiego, deportowanych do ciężkich robót i na osiedlenie dwadzieścia sześć kobiet.

Widok przybyłych ścisnął mi serce. Wszystkie one wycieńczone na siłach drżały z zimna i głodu. W liczbie ich było kilka matek z drobnymi dziećmi, dzielących dobrowolnie smutną dolę swych mężów, i piętnasto-letnia uczennica gimnazjum odeskiego Gułkowska skazana na wieczne wygnanie nad brzegi Oceanu lodowatego do Turchańska \*).

Z braku odpowiedniego lokalu przybyłe kobiety pomieszczono w naszej kazarni, przenosząc nas do drugiej, zamieszkałej przez 200 przestępców kryminalnych.

Na wstępie nie można było nic więcej dostrzec w tej otchłani prócz kilkunastu wibrujących, w atmosferze przepelnionej odorem zgnilizny, wódki i bakoniu, —świątełek. Gwar atoli mowy, okrzyki, śmiechy i głośne chrapanie oznajmiały tu obecność ludzi żyjących. Rozdzierając stopniowo wzrokiem mglistą powłokę można było rozróżnić w przeróżne grupy rozbitych tej otchłani mieszkańców.

Przestąpiwszy z całą ostrożnością zalegającą podłogę ciała ubezwładnionych snem aresztantów, skierowałem się ku najsilniejszemu światłu wydajacemu mi się w obec innych zamglonych gwia-

zdeczek co najmniej miesiącem przystrojonym lisią czapką. W miarę zbliżania się ku niemu przybiebrał ów miesiąc coraz widoczniej kształty płomienia dość grubej łożówki, wyprowadzającego na widownię z wśród mglistej osłony grupę więziennych szulerów. Gra szła na zabój. Bankier, z którego oczów błyskały cheiwość i okrucieństwo okazywał się w istocie dla swych ponilerów bezlitośnym. Moneta zdawkowa, łyżeczki, filiżanki, bielizna, pasy, chałaty aresztanckie, podarte nawet obuwie, wszystko to zmieszane razem stanowiło obecną jego zdobycz, której nietykalności przezornie on przestrzegał, mierząc od czasu do czasu podejrzliwym wzrokiem trzech zupełnie nagieli, spartych o ścianę swych towarzyszy.

Co to znaczy? — spytałem tuż przy mnie stojącego więźnia, ukazując na drżących od zimna ludzi. — Zgrali się do ostatniej nitki, odpowiedział on obojętnie. — Jakże będzie z ich odzieżą? spytałem ponownie. — Rządca więzienia — rzekł on z pewnem szyderstwem — każe ich ogrzać różgami, a potem wydadzą im z magazynu inną odzież i obuwie.

Wsparłem się o słup szukając mniej wstrętnych niż obecny dla mnie obrazów. Gra w karty szła nietylko przy owej grubej łożówce ale i przy cienkich jak drut szabasówkach; w innych znów miejscach karty zastępywały całe baterje butelek śmierdzącej wódki, a nieprzyjemne wycia ochryplej pijanej hałastry nie mniejszym niż szulernie nabawiały mnie wstrętem.

Jedna tylko grupa obozująca na węglowych ławach stanowiła rażący kontrast z otoczeniem. Ludzie do niej należący mimo wspólnej z resztą odzieży, przedstawiali typy odrębne. Ich twarze śniadawe o regularnych rysach, okolone bujnym czarnym zarostem, nosiły wyraz troski i głębokiej zadumy. Poniewierka i wygnanie zaznaczyły się na ich czołach głębokimi zmarszczkami, a na ustach osiadło milczenie.

Jeden z tych ludzi zoczywszy mnie samotnie stojącego pod filarem podszedł i poprosił z całą uprzejmością do swego grona na szklanę herbaty. Wkrótce też miałem sposobność się przekonać, że ludźmi tymi byli kozacy kubańscy zesłani w ciężkie roboty za czynny opór przeciwko Rządowi.

Upatrując w samoistnym bycie kozaczym szkodliwe na przyszłość dla Imperji następstwa, Rząd począł godzić stopniowo w dotychczasowe ich swobody zamierzając ostatecznie zniesieniem dumy kozackiej zrównać ich z włóścianami.

Do tej reformy przystępowano początkowo z całą ostrożnością, natrafiwszy jednak na stanowczy opór ze strony kozaków kubańskich, użyło siły

\*) Gułkowska niezadługo potem odebrała sobie życie w Krasnojarsku.

zbrojnej, odebrano im ziemię, zniszczono ich dobytek, wysyłając główniejszych oponentów w ciężkie roboty lub też na wygnanie.

Nie równie trudniejsza sprawa była z kozakami dońskimi. Tutaj sam car Aleksander II. wziął na siebie misję sondowania gruntu i jeszcze przed wojną turecką w czasie bytności swej w Rostowie stolicy ziemi dońskich kozaków, podsunął myśl witającej go starszynie kozackiej, względem zamiany sotni kozackich na pułki dragońskie.

Misja ta się nie udała. Kozacy stanowczo oparli się przeciw carskiej propozycji oświadczając, że w razie targnięcia się Rządu na uświęcone ich wiekami przywileje bronić się będą do upadłego. Mowa ta obszerna zakończona była słowy: a jak Don był wziętym krwią, tak też nie inaczej jak krwią oddanym zostanie. Nastąpiła wkrótce wojna turecka skłoniła Aleksandra II. do zaniechania wszelkich kroków przymusowych względem ośwożenia dońskich kozaków.

Car Aleksander III. prowadził dalej dzieło wynarodowienia kozaków.

Pierwszym krokiem zmierzającym do tego celu było wysłanie w r. 1883 komisji parcelacyjnej. Czy rzeczywiście uda się carowi ujarzmić dońskich kozaków, przyszłość najlepiej okaże.

W kazarmie kryminalnej spędziłem zaledwie jedną dobę, nazajutrz bowiem uwiadomiony o zakwaterowaniu mnie w niej radca Parafinowicz wyłajawszy należycie rządzcę więzienia, przeniósł mnie do kancelarii. Dzięki interwencji tego poczetowego człowieka cieszyłem się tu zupełną swobodą, gdyż drzwi mojej komnaty zarówno dniem jak i nocą stały otworem.

Teraz znajdując się w samym centrum więzienia a do tego niezależnym, miałem wszelką sposobność przypatrzenia się na jak najbliższą metę korporacji aresztanckiej i jej obyczajom.

Jak w wszystkich ludzkich społeczeństwach tak też i tutaj wodziła rej arystokracja, składająca się z zamożnej inteligencji. Ludzie ci, na których ciążyła przeważnie zbrodnia kradzieży wielkich sum pieniężnych, bądź to rządowych bądź prywatnych instytucyj, używali powszechnego szacunku nie tylko w całym gronie aresztantów, ale nadto u zwierzchności więziennej. Wszyscy to byli ludzie do gruntu zdemoralizowani, których jedynym celem egzystencji były kradzież i oszustwo. Wyjątek pomiędzy nimi stanowił poniekąd polak A—ski.

Była to natura niezmiernie czynna, wrażliwa, poniekąd egzaltowana, skłonna nawet w danych razach do szlachetnych porywów, przytem wszystkim chwiejna. A—ski ukończywszy uniwersytet przemieszkiwał w Petersburgu, skąd wkrótce za niele-

galne spekulacje finansowe został deportowanym do gubernji Archangielskiej. Wróciwszy tajemnie z wygnania do domu został zadenuncjowany policji petersburskiej przez swą służącą, którą w chwili przybycia komisarza w celu aresztowania go, na miejscu nożem przebił. Karą za to zabójstwo było zesłanie A—skiego na osiedlenie do zachodniej Syberji.

Będąc człowiekiem zamożnym i przytem wykształconym A—ski w czasie swego pobytu w więzieniu tomskiem wziął w taką kuratelę tamtejszą zwierzchność, że faktycznie stał się sam najwyższą władzą. Ta substytucja dawała niejednokrotnie powód do zajęć areykomicznych, jakie chyba w więzieniach tylko rosyjskich praktykować się mogą. Pewnego razu gdy rządca więzienia do uśmierzenia jednego krnąbrnego aresztanta zawezwał w pomoc sześciu żołnierzy, to A—ski uchodzący w obec straży za najwyższego zwierzchnika rozkazał żołnierzom istotnego rządcę aresztować i odprowadzić do domu warjatów. Rozumie się, że odwoławszy po chwili dany rozkaz wycofał się sam z mogącej spaść na niego odpowiedzialności.

Sposobność do ucieczki nastęrczała mi się tu kilkakrotnie, w danym razie mogłem rozporządzać kilkusetrublową suną. Do chwycenia się jednak tego środka odzyskania wolności stanęła na przeszkodzie ciężka moja choroba.

\* \* \*

30. września późną nocą przybyły do kancelarii rządca więzienia wraz z żandarmem wezwał mnie abym za pół godziny był gotów do podróży.

Zabrawszy manatki skierowałem się ze strażą ku bramie, gdzie oczekiwała nas pocztowa powozka. Deszcz lał jak z cebra, a przytem ciemność była taka, że przy pomocy światła latarni, zdołaliśmy zaledwie przebrnąć grzędki dziedziniec. Żołnierz dodany do pomocy żandarmowi wśliznąwszy się w głąb budy spał jak zabity.

— Dalekoż my ujedziem na taką ciemnotę? — spytałem żandarma, otrząsując się z deszczu, który przemoczywszy mój rzadki jak przetak chałat i bieliznę, spływał strumieniami po nagiem ciele.

— Cóż robić? Rozkaz; alboż to mnie samemu przyjemnie włóczyć się wśród takiej szarugi — odrzekł on i nagle zślizgnąwszy się z stopnia wysokiej kolasy zarył nosem o ziemię.

Minał jaki dobry kwadrans za nim odprowadzającemu nas dozorecy udało się wydzwignąć żandarma z pod bryki i podwindować go ponownie na stopień, z którego już własnym ciężarem stoczył się do wnętrza. Ruszyliśmy wreszcie a wlokąc się

przez całą noc, dopiero nazajutrz wśród białego dnia dotarliśmy do pierwszej stacji pocztowej w Siemiluznej.

Strudzonym i przeziębłym niezbędny był wypoczynek, ale daremnie było o nim myśleć. Lokal pocztowy z wszystkimi załkami zajęty był przez generała Siewersa, za którym w ślad miał pospieszać odwołany z Irkucka do Rosji tameczny generał-gubernator baron Friederiks.

Baron Friederiks b. policmajster miasta Warszawy i faworyt carski dorobiwszy się, w czasie swego namiestnikostwa w wschodniej Syberji, sposobem łupieżkim znacznej fortuny, powracał obecnie nietylko z wyładowanemi złotem kieszeniami ale i z nabytą przymusowo od jednego z tamecznych oficerów za sumę 10.000 rs. małżonką.

Powrót barona do Rosji dał nam się dotkliwie we znaki. Na zadnej stacji pocztowej nie mogliśmy znaleźć chwilowego nawet przytułku, zmuszeni będąc na wietrze i deszczu oczekiwać częstokroć całemi godzinami na zmianę koni. Konwojowi moi byli tak dalece znużeni, że niebaczni nawet na surową odpowiedzialność, na jaką mogła ich narazić moja ucieczka, spali nocą jak zabici. Razu pewnego wyszedłem niepostrzeżony przez nich z kibitki wtedy nawet myśl ucieczki błysnęła mi przez głowę. Ale gdzie tu się skierować bez pieniędzy, odzienia i dokumentów podróżnego? To też rozpatrzywszy się bliżej wszedłem powrotnie do bryki następując na nogę żandarma, który nagle zbudzony, dopiero wtedy chwycił za rewolwer.

Ta 560-wiorstowa podróż z Tomska do Krasnojarska była dla mnie jedną z najnieznośniejszych. Nieustanna ślota, wiatr, niebiosa pokryte gęstemi ołowianemi chmury, nie przepuszczały promienia słonecznego. Okolica być może latem poniekąd malownicza, przedstawiała się oczom moim monotonna i wstrętną. Bezmiernie równiny szarzyły się zdala jesiennymi przymrozkami zwarzoną trawą. Na lesistych wzgórzach pośród spłowiących cedrów i modrzewiów chwiały się ciemne sosny. Gdzie-niegdzie żółci się polanka z nieskoszonym jeszcze lub też niezwiezionem zbożem a konie nasze korzystając z drzemki poczytłjona wyciągają szyję a zachwyciwszy zębami snopy, w leniwym chodzie roztrzasały je po szerokim błotnistym gościńcu.

Na całej tej wielkiej odległości znajdują się tylko dwa miasteczka Maryńsk i Aczińsk, które to ostatnie stanowi punkt pograniczny Wschodniej Syberji. Za to osady wiejskie wcale ludne snują się przy gościńcu dwoma rzędami dobrze zabudowanych i schludnych domostw. Obfitość zboża, koni i bydła świadczą o dobrobycie tamecznych włościan.

Mokry śnieg przesładujący nas nieustannie i d. Aczińska skłonił nas do dłuższego zatrzymania się na stacji pocztowej w Czarnej Rzeczce. Odpoczynek ten był mi bardzo na rękę, zwłaszcza że tameczny pocztmistrz Szwed, człowiek wcale sympatyczny przyjął mnie z otwartemi rękami. Będąc sam wygnańcem, nosił w sobie niekłamane uznanie i współczucie dla więźniów stanu. Wpatrując się w toku naszej rozmowy w dwa żółte kwadraty wszyte w plecy mego aresztanckiego chałatu odezwał się po niemiecku: was to przynajmniej nie darmo przystraja rząd tymi kwadratami bo wy rogacie, harde dusze; nie dajcie się! nie dajcie się! Odprowadzając mnie zaś do bryki pocztowej, podrzuciwszy w górę czapkę, krzyknął na całe gardło: Es lebe die Freiheit! Verlieren Sie die Courage nicht!

Ujechaliśmy spory kawał drogi, a słowa tego poczciwca odbijając się o drzewa długo jeszcze dźwięczały mi w uszach.

Na przebycie sześciu następnych stacyj straciłszy prawie całą dobę, mimo bowiem doborowych koni, grzędka droga nie pozwalała nam posuwać się inaczej jak żółtym krokiem.

Okolica przedmiastowa bynajmniej nie ponętna. Jest ona przeważnie górzysta, naga gdzieniegdzie, upstrzona skalistymi grzebieniami, lub też poprzerzynana czerwonymi jarami, skąd też wywodzi się i nazwa stolicy Jenissejskiej gubernji Krasnojarska.

Na zjeździe z ostatniej góry ukazał się pod jej stopami ogromny budynek więzienny a poniżej na nizinie Jenissejskiej zarysowało się miasto.

Minąwszy moje przyszłe mieszkanie, wjechaliśmy na główną ulicę, podążając do rządu gubernialnego, gdzie wyczekawszy się przynajmniej jakie dwie godziny w zakopconej kordegardzie zostałem zawezwany do kancelarji, skąd po sprawdzeniu tożsamości osoby wyprawiono mnie wraz z żandarmem do więzienia.

Po dopełnieniu formalności odbiorczych rządcą więzienia, polak Ostrowski poprowadził mnie do wnętrza budynku.

Wstępowaliśmy na pierwsze schody, gdy niebawem mury więzienne zadrgały hymnem »Boże coś Polskę«. Zachwyt mój graniczący w pierwszej chwili z zdumieniem, zmienił się w konwulsyjną żądzę natychmiastowego przeniesienia się na te pamiętne szerokie płaszczyzny, z których hymn ten przed laty unosił się w niebiosa z parą ofiarnej krwi. Ktokolwiek jesteś Siło Wszzechmogąca! — błagałem myślą — wydrzyj mi duszę, skaż ją na najsroższe udręczenia, ale powiedz mnie choć na jedną chwilkę do rodzinnej ziemi, niech dotknę się wzrokiem miejsc dla mnie świętych, niech osta-

tnie me technienie złącze z szeptem fal najdroższej mi Wisły.

Hymn wkrótce przebrzmiał w przestrzeni, ale struny mej duszy drgały jeszcze długo jego oddźwiękiem!

Dziwne koleje losu! Piesń ta prześladowana tak srodze przez Rosjan wyrwała się obecnie przeważnie z ich własnych piersi.

Między więźniami tutejszymi, których liczba dochodziła do stu, spotkałem i towarzyszków nojej podróży. Straciwszy nadzieję w moje uzdrowienie, witali mnie jak gościa z tamtego świata. Zebrani tu wygnańcy między którymi było jedenastu Polaków, reprezentowali sobą przeróżne klasy społeczne. Lekarze, prawnicy, wojskowi, technicy, artyści, literaci, rzemieślnicy, studenci uniwersytetu i także siedemnastoletni uczniowie gimnazjalni.

Towarzystwo, mimo ciężającej na niem kamieniem potępienia przyszłości drgało życiem, zarówno politycznem jak umysłowem. Niektórzy z deportowanych wieźli z sobą prócz książek i instrumenta muzyczne a nawet przyrządy malarskie, co wszystko obecnie było bardzo pożądanem. Najniespodziewaniej spotkałem się tu z czwartym tomem Mickiewicza wydania paryskiego. Czwarta część Dziadów, Księgi pielgrzymstwa narodu polskiego i inne w tym tomie mieszczące się utwory wielkiego mistrza nastęrczyły niejednym materiałem do kilkodniowych głębokich rozmyślań.

W krasnojarskiem więzieniu gościłem tylko dni pięć, 23. bowiem września wysłano nas dwudziestu kilku, porządkiem etapowym ku Irkucku. Wrażenia odebrane w całej tej podróży mało przedstawiają interesu. Niech sobie czytelnik narysuje myślą pas ziemi tysiąco-wiorstowej długości i wielosążniowej szerokości, przerywany strzałą szerokie błonia, lesiste równiny, to znów wspinający się po wierchołkach gór i wysadzony w równomiernych przerwach rzędami drewnianych domów mieszczących w sobie całą ludność okoliczną, — niech w każdej takiej osadzie wzniesie sobie wyobraźnią cerkiew upstrzoną zielenią, żółciejący się zdala dom komendy etapowej, tudzież budynek stacji pocztowej a będzie miał wierny obraz nie tylko gościńca Krasnojarsko-Irkuck, ale wszystkich innych syberyjskich.

Po tym to gościńcu, bez względu na możebne zmiany klimatyczne snują się każddotygodniowo jak rok długi z akuratnością pociągów kolei żelaznych, posępne zastępy aresztantów, oznajmiając mieszkańcom swój pochód głuchym brzękiem łańcuchów.

Za takim to kilkasetgłowym zastępem wlekleliśmy się obecnie na jednokonnym kibitkach pilnowani przez pieszo postępujących obok nas żołnierzy. Ujeżdżając w ciągu każdego dnia trzech

dwie stacje (40—50 wiorst) potrzebowaliśmy na przebycie 1006-wiorstowej odległości z Krasnojarska do Irkucka, nie mniej ni więcej nad dwa okrągłe miesiące zwiększone jedną dobą.

Pierwsze dni naszej podróży nastęrczały dość rozmaitości. Już sam oryginalny, obcy każdemu z nas sposób podróży, zmiana miejscowości, świeże powietrze, sprzyjająca pogoda, przytem opowiadania, śpiewy, to znów zajęcia kuchenne, wszystko to razem zastaniało poniekąd oczekującą nas smutną dolę.

Niemalą rolę odegrał w podróży naszej Szemiot. Siedmdziesięcio-ośmio letni ten starzec mimo tak podeszłego wieku nosił się z pomysłami istotnie młodzieńczymi. Zwiedzał on już w charakterze przestępcy politycznego dwukrotnie pustynie sybirskie, piastując nawet w gubernji Jenissejskiej posadę naczelnika górnictwa. Obecnie szedł na wygnanie po raz trzeci wraz z synami, córką i zięciem, nie troszcząc się bynajmniej zarówno swą własną jakoteż dzieci swych dolą. Jego żywa i wciąż czynna wyobraźnia wytwarzała sobie plany, które ludziom zwykłym kazały powątpiewać o normalnym stanie jego zmysłów. W rzędzie tych nieujętych cyfrą projektów na pierwszym miejscu figurowała zdobycz złota. W czasie naszej wspólnej dziesięciodniowej podróży Szemiot nie opuszczał z pod swojej uwagi żadnego wzgórza, żadnej rzeczulki, a wszędzie jego wybujała wyobraźnia dopatrywała się ogromnych zasobów drogocennego kruszca.

Nie ograniczając się na samych tylko spostrzeżeniach, wychodził on co chwila z kibitki i rozkopując nogami przydrożne przyzmy napychał zwierem rękawice i całe tuziny ku temu celowi wiezionych z sobą torb i torebek.

Oficerowie zarówno jak żołnierze nie śmiać naglić starca do kontynuowania niemal co kilkaset kroków badawczymi przystankami jego przerywanej podróży, zatrzymywali na wicherze i mrozie całą karawanę, co znów dawało powód cierpiącym na tej zwłoce współtowarzyszom do robienia Szemiotowi słusznych wymówek.

Znosił on to wszystko z całym stoicyzmem człowieka namaszczonego wyższem posłannictwem, niekiedy jednak miarka cierpliwości się przebierała a wtedy urażony starzec nie przestawał przez całą noc nużyć swych przeciwników surową admonicją.

Serce jego nie skłonne do noszenia długo urazy rozbrajało się powoli a nazajutrz jak zwykle roztaczając swe szerokie zamiary, jako władca ogromnych skarbów zwiastował wszystkim wyzwolenie.

Drugą słabą stroną Szemiota było szerzenie

propagandy rewolucyjnej pomiędzy więźniami kryminalnymi. Po odbytej próbie ziemi złotodajnej występował on w obec zbiegającej się rzeszy z długą oracją, kończącą się trzema następnymi zapytaniami.

Pierwsze z nich brzmiało: Kto was skazał na wygnanie i zatrąę? — Chór odpowiada: car. Drugie zapytanie: Kto wydarł wam i waszej braci ziemię, kto obarcza ich podatkami, kto rabuje ostatni ich dobytek? — Chór: car. Trzecie zapytanie: Kto was stworzonych do cieszenia się wolnością przemienia w swych niewolników? — Chór: car.

Z każdej takiej misji sędziwy ów starzec powracał do swego towarzystwa promienny silną wiarą, że ziarno propagandy rewolucyjnej zaszczone głęboko w serca i dusze aresztanckiej rzeszy, obfite wkrótce wyda plony.

W Kańsku, mieście leżącej w odległości 216 wiorst od Krasnojarska pożegnali nas: Szemiota z synami tudzież inni jeszcze towarzysze dotychczasowej podróży, przeznaczeni tam na osiedlenie. Partja nasza liczyła obecnie sześć tylko osób, między którymi było czterech skazanych w ciężkie roboty, dwóch zaś na wygnanie do irkuckiej gubernji. \*)

Dalsza nasza podróż okazała się bardzo ubogą w wrażenia a nadto odbiła się szkodliwie na naszym zdrowiu. Posuwaliśmy się na kibitkach żółwim krokiem za partją aresztantów marnotrawiąc codziennie ośm a nawet więcej godzin na przebycie jednej stacji etapowej i to wśród dwudziestokilostopniowych mrozów a pod stacją Zimą ledwieśmy wszyscy wraz z żołnierzami nie znaleźli śmierci w zaspach śniegowych.

W domach etapowych, tych jedynych naszych hotelach, spotykaliśmy się z najnieprzyjemniejszymi dla wypoczynku warunkami. Zimno, robactwo, niedostatek strawy, a prócz tego dodatkowe nieprzyjemności, na jakie niejednokrotnie byliśmy narażeni ze strony pijanych i gburowatych oficerów i ich podkomendnych.

Pomiędzy oficerami etapowymi prócz skończonych głupców, bezmyślnych formalistów, byli i dobrzy ludziska, niejednym z nich nawet nieobojętną była polityka i literatura, ale w całej tej czterdziestogłownej kolekcji nie było ani jednego niepijanicy. Skutki ich opilstwa nie dotyczyły wprawdzie naszych osobistości, aresztantom jednak dawały się srodze we znaki. Tak np. z rozkazu komendantów etapowych ćwiczone tych biednych ludzi różgami w czasie marszu a po przybyciu do

stacji następowało znów pojednanie pomiędzy krzywdzącymi i krzywdzonymi przy butelce wódki.

Najdokuczliwszą z przywar komendantów etapowych okazała się dla nas ich pedanterja posuwana częstokroć do idjotyzmu. Tak np. na jednej ze stacyj etapowych przy sprawdzaniu tożsamości mojej osoby podług urzędowego rysopisu, gdzie jako znak szczególny zamieszczono brak w górnej szczęce dwóch zębów trzonowych, krótkowidzący komendant w pomoc wzrokowi przyzwał zmysł dotyku. W innym znów miejscu kolega jego odwołał się w tym samym celu do płomienia świecy łożowej, który to eksperyment okupiłem cząstkową zgorzelizną podniebienia.

Wszystkie te przykrości wyświadczano nam nie rozmyślnie, były one tylko wpływem krańcowego idjotyzmu, ale natrafiliśmy niekiedy na ludzi istotnie złych, którzy powodowani nienawiścią dla przestępców stanu, silili się na wyrządzenie nam przykrości. W miasteczku Niżniutudyńsku oficer etapowy wraz z rządcą więzienia rozmyślnie wytrzymali nas przez całe pół dnia pod gołem niebem wśród trzaskającego mrozu. Kazali się znęcać nad nami żołnierzom, a wpuściwszy nas dopiero nocą do zimnych cel więziennych, usiłowali nałożyć na każdego z więźniów żelazne obręcze przykute do ścian.

Podróż nasza etapami była istotnie drogą cierniową, a celem jej nie było niebo ale katorga.

W miarę zbliżania się ku Irkuckowi, osady przydrożne stawały się coraz ludniejsze i rozleglejsze. Domy mieszkalne aczkolwiek drewniane odznaczają się nader mocną, a' poniekąd nawet gustowną strukturą. Osady jak Szaraguly, Tułuna, Kuituńsk, Kamilteje, Czeremchowsk, Malta i Telmińsk nie tylko liczbą mieszkańców i zabudowań, ale i ruchem handlowym przewyższają wiele galicyjskich powiatowych miasteczek. W każdej takiej osadzie można spotkać kilka sklepów korzennych, galanteryjnych, a przedewszystkiem mnóstwo domów zajezdnych i szynków.

Dnia 25 listop. (7 grudnia) przeprawiliśmy się promem przez bystrą Angarę, o późnym już zmroku, zatrzymaliśmy się przed bramą więzienia irkuckiego. Tu zrewidowano nas do ostatniej nitki i odprowadzono do pustej zimnej celi odmawiając nam nie tylko strawy, ale nadto dwóch do eksystencji najniezbędniejszych żywiołów, jakimi są ogień i woda.

To wstępne przyjęcie przypominając nam w całej nagości fatalne i gubiące się w odmęcie lat przyszłych nasze jutro, doprowadziło nas do posępnych sensacyj. Sen jednak, ów jedyny sprzymierzeniec strapiionych, zasłonił wkrótce swemi

\*) Oprócz mnie szli w ciężkie roboty: Bogrynowski, Predtieczynski i Owezynnikow — na wygnanie zaś Czeczowski i Margolin, obaj studenci uniwersytetu.

skrzydły złowrogie widma. Spaliliśmy też istotnie jak zabici.

Nastaje jutro okazało się nieco dla nas przychylniejszem od minionego wczoraj. Dotychczasowy zimny lokal zastąpiono nam innym cieplejszym gdzie oprócz wody, ognia i sprzętów herbacianych, zastaliśmy i kilkunastu oczekujących dalszej ekspedycji naszych towarzyszków. Nowe transporta więźniów przybywały niemal co dni kilka, a grono nasze w ciągu kilku tygodni leżyło zwyż stu więźniów.

W tym czasie grasujący w więzieniu irkuckiem tyfus nie zapomniał i o naszej osadzie, w obec której to plagi stanęliśmy zupełnie bezbronni. Ogołoceni zupełnie z funduszów, zdrowi, chorzy i rekonwalescenci zmuszeni byli ograniczać się dziennie funtem czarnego chleba, który z powodu ówczesnej drożyzny pochłaniał nasz dzienny dziesięciokopijkowy żółd. Do rozwoju tej choroby prócz głodu, przyczyniła się także i wspólność lokalu.

Położenie nasze w więzieniu irkuckiem nie było do pozazdrosczenia. Niewola, choroba i krańcowa nędza, podały sobie ręce dla dokonania dzieła zniszczenia. Przetrzymaliśmy atoli wszystkie te biedy nie dostarczając śmierci ni jednej ofiary.

Po minionem niebezpieczeństwie wielu z skazańców, którym więzienie dostatecznie nie dało się we znaki, postanowiło ratować się z niego ucieczką.

Zamiar ten początkowo zdawał się niewykonalnym. Obie izby zajmowane przez nas, położone w głębi budynku więziennego graniczyły z odwachem i kancelarją, a jedyne drzwi wychodowe obsadzone były na zewnątrz strażą. Przy takim więc składzie rzeczy wybicie nawet otworu w sążniowej grubości, murowanym fundamencie nie prowadziłoby do żadnego celu. Zresztą do rozbijania murów niezbędnymi były jakie takie narzędzia, gdy tymczasem wszyscy razem więźniowie nie byli w posiadaniu nawet jednego gwoźdźca. Silna jednak wola twórców tego pomysłu nie miała granic. To też nie zniechęcając się żadnymi przeszkodami oczekiwali oni z całą cierpliwością odpowiedniej okazji do zdobycia sobie na początek choćby kawałka żelaza. Jakoż niezadługo dzięki nieostrożności żołnierza mającego nadzór nad udzielanymi nam codziennie do krajania chleba nożami, jeden z takich nożów stał się naszą doczesną własnością.

Pogięty i tępy nóż w rękach naszych artystów-słusarzy za chwilę przemienił się w piłkę przy pomocy której tejże jeszcze nocy przepiłowanym został jeden z węglowych belków podłogi. Taż sama piłka, gorąca woda a przede wszystkim ręce, były jedynymi narzędziami, za pomocą których wy-

grzebano w ciągu następnych nocy w zmarzłej jak kość ziemi jamę na wysokość człowieka.

Ale jak wszędzie, tak i tutaj powodzenie mnoży kłopoty. Gdzie skryć wydobytą z jamy ziemię, której porcja wynosiła przynajmniej jakie dobre pół fury? Wykonany w tym celu rekonesans wykazał, że w drugiej izbie pod podłogą znajduje się próżnia.

Majstrowie nasi korzystając z tego ważnego odkrycia bezwzględnie wyważyli jeden bal podłogi chroniąc tam przedmiot dotychczasowego swego kłopotu.

Wybiwszy w ciągu kilku następnych nocy otwór w fundamencie ściany przedziałowej, otworzono komunikację z drugą sąsiednią izbą. Teraz z kolei należało zbadać wychód dalszy z tej izby i dowiedzieć się przez kogo jest zamieszkałą. Prawdopodobnie lokatorami tej izby mogli być żołnierze albo stróże więzienni. Dalszy więc rekonesans należało prowadzić z szczególną ostrożnością, lada bowiem najmniejsze stuknięcie, kasznięcie lub głębsze odetchnienie mogło plan zdradzić, a tem samem jego wykonanie uniemożliwić.

Pracownicy dostawszy się przez otwór wybity w fundamencie do tej tajemniczej izby, natrafili pod jej podłogą próżnię, a przepelznawszy ją rakiem wzdłuż i w szerz przekonali się, że mieszkańcami tu są wyłącznie myszy.

Następnej nocy uzupełnięto znów pod podłogę w mowie będącej izby i wyważywszy jeden z balów podłogi, sprawdzono naocznie, że pokój ów próżny, pełniący obcennie funkcję spiżarni, ma drzwi wyprowadzające do sieni rządcy więzienia, z której można się było wydostać na dziedziniec więzienny, a z niego na ulicę.

Komunikacja więc z ulicą była zupełnie otwartą, a całe powodzenie ucieczki polegało na zręcznem przejściu przez otwartą bramę strzeżoną sztyldwachem. — Rozchodziło się tedy o garderobę.

Skazanych w ciężkie roboty pozbawiono wprawdzie odzieży cywilnej, ale dostateczny jej zasób mieli wspólnie więźni z nami posieleńcy, z których większość była gotową oddać dla ratujących się ucieczką współtowarzyszy nietylko i ostatnią koszulę, ale zarazem narazić się na surową odpowiedzialność za udzieloną zbiegom pomoc.

By zupełnie zabezpieczyć wolny wychód w obec sztyldwachu, uszyto na prędcie dla zbiegów kostjum żołnierski, tudzież jedną czapkę urzędniczą, posiłkując się miasto sukna czerwonego niezbędnego do wypustek, czerwoną tkaniną z powłoczki poduszki. Guziki zaś błyszczące zastępywały krążki drewniane obleczone papierem cynowym od herbaty. Prócz tego dla jednego z kandydatów ucieczki de-

likatnością rysów przypominającego kobietę, wystarano się o suknie damskie.

Dnia 6. lutego wieczór gotowi do ucieczki więźniowie w liczbie sześciu podpełzali pod moje łóżko, skąd prowadził tajemny wchód do jamy i pełną dalej rakiem wyrosli naraz z pod podłogi w drugiej pastej izbie. Tu ukompletowawszy swą garderobę, ruszyli dalej w następującym porządku: Popko, student uniwersytetu w eleganckiej szubie i czapce urzędniczej z kokardą prowadził pod ręką przebranego swego kolegę Fomiczowa. Za tą parą w charakterze służącego postępował majtek floty czarnomorskiej Bereźniuk w odzieży żołnierskiej z koszem w ręku. O kilka kroków za tymiż szli śmiało zajęci głośną rozmową student uniwersytetu Wołoszeńko, Jacewicz oraz ślusarz-mechanik figurujący na liście urzędowej pod mianem »niewiadomego rannego w głowę».

Odebrawszy od szyldwacha należącą się osobom urzędowym cześć, towarzystwo skierowało się ku miastu, gdzie też i znikło niespostrzeżone przez policję.

Kandydatów do dalszej ucieczki było jeszcze wielu. Jakoż przepauzowawszy dwie doby, 8. lutego uwolnili się z więzienia irkuckiego tą samą drogą co ich poprzednicy, student uniwersytetu Pozen wraz z oficerem marynarki Kałużnym.

Następnej nocy kolej ratowania się ucieczką przypadała na mnie i na mego przyjaciela Bogrynowskiego.

Dzień 9. lutego mający wypłynąć dla nas jutrznią wolności skończył się fatalizmem. Oznajmivszy nam w niezwykle ранней porze wymarsz etapem do ciężkich robót pozwano nas zarazem grupami przed komisję ekspedycyjną, zebraną w jednej z większych sal budynku więziennego.

Zaliczony do pierwszej grupy, stawilem się wraz z kilkoma towarzyszami przed ową komisję złożoną z wicegubernatora, prokuratora, rządcy gubernialnego, inspektora traktu, komendanta żandarmerji, transportującego partję oficera i kilku innych urzędników.

Członkowie komisji niedomyślając się o przyszłej w więzieniu ucieczce niezwykłą delikatnością obejścia się z więźniami, tudzież pieczołowitością o ich zdrowie manifestowali swe wysokie zadowolenie z ich legalnego zachowania się. Inspektor traktu Zagarin okazał się nawet do tego stopnia czułym dla transportowanych, że własnoręcznie wybierał najcieplejsze kożuchy, bacząc pilnie na długość kołnierzy i rękawów.

Ale chwile tej tkliwej urzędowej ciszy były policzone. Jakoż niezadługo, rządcą więzienia, błąd jak złowroga chmura wcisnąwszy się do sali sze-

pnął »ucieczka«. W tej chwili trzasnęły pioruny z taką siłą, że kilka krzeseł runęło na podłogę pod zrywającymi się na równe nogi członkami komisji, mnie zaś najbliżej stojącemu przy pułkowniku Zagarinie, udzieliło się tak silne obrażenie bębenków słuchowych, że uczulem się zabezpieczonym na jakie kilka godzin od skutków detonacyjnych istotnego gromu.

Zaalarmowana ucieczką komisja, przerwawszy swą czynność rozbiegła się na wszystkie strony, a za chwilę druty telegraficzne warczały po brzegi Newy, mórz i oceanów wieścią o zaszłym w więzieniu irkuckiem wypadku.

Zaspokoiwszy swe gończe popędy, skompletowana ponownie komisja wsparta zastępem służby więziennej, wzięła się z całą gorliwością do wysłuchania sposobu w jaki nastąpiła ucieczka. Zwróccono się najpierw do mniejszej izby, w której znajdowała się istotnie jama, ale tu była tak artystycznie przykryta, że komisja nie mogąc jej dostrzec zwróciła się do mnie z całą natarczywością o ukazanie jej tajemniczego otworu, a nie mogąc uzyskać żadnych odemnie w tym względzie wskazówek usiłowała pogroźkami zmusić mnie, chociaż daremnie, do udzielenia takowych.

Z wszystkich moich w tej sprawie indagatorów okazał się najrubaszniejszym prokurator irkucki, którego obelżywe względem mnie, jako człowieka pozbawionego praw wystąpienie, skłoniło mnie do odmówienia mu w obec całej komisji praw obywatelskich i obywatelskich.

Nazajutrz okuci w ciężkie kajdany, a do tego na nagie nogi wyruszyliśmy z Irkucka do Kary. Partja nasza składała się z trzydziestu kilku przestępców, z których 25 skazanych na ciężkie roboty reszta zaś na posilenie.

Przebywszy wśród trzaskających mrozów, po lodzie jezioro Bajkalskie dalszą podróż odbyliśmy także saniami częścią po gościńcu, częścią po zamarzłych rzekach.

Podróż ta półtorotysiąc-wiorstowa trwająca około miesiąca była dla mnie poniekąd jeszcze przykrzejszą niż dawniejsza, zaniewidziawszy bowiem na oczy, pozbawiony bytem w ciągu całej drogi tej jedynej przyjemności, jaką jest wpatrywanie się w oblicze przyrody.

Dzięki szczegó'niejszej troskliwości i pieczy moich towarzyszków odzyskałem wzrok w więzieniu karyjskiem, z którym też chciałyby łaskawego czytelnika w drugiej części niniejszego opowiadania zaznajomić.

## Kronika powszechna.

— W składzie uniwersytetu krakowskiego nastąpiły pewne zmiany. Kanonik honorowy kapituły ks. Knapieński mianowany został zwyczajnym profesorem języków semickich na wydziale teologicznym, ks. Marjan Morawski, jezuita, redaktor „Przeglądu powszechnego“ objął katedrę dogmatyki na tymże wydziale, tytularny profesor prawa karnego dr. Józef Rosenblatt, mianowany został nadzwyczajnym profesorem tego przedmiotu, zaś docent prawa kanonicznego Wł. Abraham otrzymał na katedrę prawa kanonicznego we Lwowie po ś. p. Kasznicy, w charakterze profesora nadzwyczajnego.

— W krakowskiej Akademii umiejętności na ostatniem dorocznem administracyjnem posiedzeniu dokonano wyboru nowych członków, zaproponowanych na publicznie posiedzeniu w maju r. b. Członkiem czynnym wydziału I. mianowany Kazimierz Morawski, członkami zagranicznymi ks. biskup Krawczyński, Baudouin de Courtenay; członkami korespondentami: Jan Karłowicz i Wojciech Dzieduszycki. Członkami wydziału II. (histor.) Tadeusz Wojciechowski i Wojciech Kętrzyński, członkiem zagranicznym ks. biskup Likowski. Na członka czynnego wydziału III. (mat.-przyr.) Izidor Kopernicki, członkami korespondentami: Napoleon Cybulski, Feliks Krentz, Julian Niedźwiecki i Emil Godlewski.

— Po wiekowej blisko zwłoce, sprawa zużytkowania funduszu Konarskiego na utworzenie w Warszawie szkoły rzemieślniczej, jak wiadomo, przed dwoma laty została pomyślnie, choć połowicznie rozstrzygnięta. Połowicznie, gdyż komitet szkolny nie znajdując narazie odpowiedniego pomieszczenia, ulokował zakład tymczasowo w domu wynajętym, a jednocześnie zakrzętnął się około wynalezienia placu, na którymby budynek szkolny z warsztatami i urządzeniami pomocniczymi, mógł być wystawiony. Posesję taką nabyto w roku zeszłym bardzo tanio przy ul. Leszno, w dzielnicy fabrycznej, a więc w środku mieszkań robotniczych. Obecnie okręg naukowy warszawski wstrzymał budowę gmachu szkolnego na owej posesji, podobno do czasu, aż komisja, opracowująca w Petersburgu program wychowania profesyjnego, nie ukończy swoich czynności. Zwłoka ta nie jest korzystną dla szkoły, która musi się obywać bez warsztatów i krepować szczupłością lokalną.

— Prywat-docent uniwersytetu petersburskiego p. Wolter ukończył i wydrukował przeład liturgii prawosławnej na język litewski. Oczekiwaniem jest, jak donosi „Now. Wr.“, specjalne polecenie naczelnego prokuratora św. synodu względem dalszego zużytkowania tego wydawnictwa dla prawosławnych Litwinów.

— Nowa kuracja obłąkanych, według systemu lekarzy berlińskich, wprowadzoną być ma w Finlandji. Sposobem próby senat fiński postanowił w tym celu asygnować przez lat trzy po 5000 marek rocznie. Chorzy tej kategorii wysyłani będą nie do szpitalów specjalnych, lecz na wieś „na świeże powietrze“, gdzie zostawani będą pod dozorem osób prywatnych.

— Podług ostatnich wykazów, w Petersburgu istnieje wogóle 630 zakładów naukowych.

— Rosyjskie ministerstwo oświaty, jak donoszą dzienniki, podniosło kwestję wzmocnienia na fakultetach medycznych wykładu nauk, wchodzących w dziedzinę psychiatrii.

— Ogłoszone zostały ciekawe cyfry porównawcze co do bibliotek i co do stosunku ilości tomów, przypadającej w różnych państwach na liczbę mieszkańców. I tak: we Francji wypada 12 tomów na każde 100 mieszkańców (4,900.000 omów); we Włoszech 11·7 tomów, w Belgji 10·4 (510.000

tomów), w Austrii 6·9 tomów, (2,400.000 tomów), w Wielkiej Brytanji 6 tomów (1,771.500 tomów) i nakoniec w Rosji około 1·5 tomu na 100 mieszkańców.

— Pod tytułem „Export-Journal“ zacznie wkrótce wychodzić w Lipsku dziennik, poświęcony handlowi książkowemu; dział publikacji polskich wzięły w nim na siebie p. Józef Habicht z Wrocławia.

— Na dziesiątym z kolei międzynarodowym kongresie literackim w Madrycie, zajmowano się wiele, w czasie jego obrad kwestją własności literackiej i artystycznej. Orzeczenia kongresu dotyczą między innymi: wolności posilkiwania się cudzimi pracami w dziełach i artykułach krytycznych i pedagogicznych, oraz w podręcznikach szkolnych; zabezpieczenia praw autorów pod względem tłumaczeń i przeróbek (np. scenicznych) i mechanicznego reprodukowania widoków budowli pomnikowych, o ile reprodukcje te nie przedstawiają całych np. ulic, placów itp.

— Stanisław Olszewski i Benardos wynalazli ogromnego znaczenia sposób obrabiania i spajania metalów za pomocą elektryczności. Szczególniej doniosłem jest umożliwienie łączenia z sobą rozmaitego składu kruszców: miedzi z surowcem, niklu z żelazem, alluminjum z platyną itd. Wynalazcy otrzymali już w departamencie przemysłu i handlu w Petersburgu przywilej na eksploatację. Wynalazek był wypróbowany w Petersburgu i w Paryżu.

— Nowy efektywny wynalazek amerykański pojawił się w Paryżu. Miniaturowe pociągi, poruszane na szynach żelaznych elektrycznością, rozwiją potrawę na stole i zabierają niepotrzebne nakrycia. Na stole urządzone są odpowiednie ralsy. W Ameryce zaś, a mianowicie w mieście Sacramento, pociągi podobne już zastosowano w restauracjach miejscowych. Nowy wynalazek, jeżeli znajdzie szersze zastosowanie, przyczyni się do zmniejszenia personelu służbowego.

\* \* \*

### Zmarli.

— Jan Chełmecki, honorowy kanonik i radca konsystorza w Krakowie. Położył on dla kraju zasługi, lubo w szerszych kołach duchowieństwa jako umysł niepodległy, śmiały w głośnem wypowiedaniu swych przekonań, nie cieszył się wzięciem i sympatją.

— W Odesie zmarł Ignacy Bagiński. Zgon ten obudził serdeczny żal szczególnie na Szlaku austriackim, gdyż Ignacy Bagiński nie szczędził ofiar na cele podtrzymania tam instytucji polskich. Darował on dla „Macierzy szkolnej“ w Cieszynie rs. 10.000, dla Towarzystwa pomocy naukowej rs. 1000, dla „Domu Narodowego“ i dla Czytelni polskiej w Cieszynie rs. 1000. Pod sam koniec żywota wyjawiał Ignacy Bagiński zamiar ofiarowania cennej biblioteki dla Szlaka, a narodowcy szlaccy prosili, iżby ta biblioteka mogła być przeznaczoną dla czytelni polskiej. Ignacy Bagiński bęczył sumiennie, by jego ofiary niosły pożytek całej ludności polskiej na Szlaku.

— W Kazaniu zmarł Mikołaj Kruszewski, profesor uniwersytetu.

— W Paryżu zmarł współpracownik pism polskich Mikołaj Akielewicz, znany pod nazwą „Chłopa z Marjam-polskiego“ lub „Agricoli“.





## Małgorzata Fuller.

(By Julie Ward Howe. — Boston, Roberts brothers)

Przez zespolenie swych sił i wzajemne popieranie się, Amerykanki stały się potęgą, z którą dziś już liczyć się wypada. Nigdy zawiść małoduszna lub kult własnego ja Amerykanki nie zaslepi i nie stanie na przeszkodzie w uznaniu zasług drugiej kobiety. Podnosząc i czcząc zabiegi kobiet wyższymi zdolnościami uposażonych i oceniając sprawiedliwie ich zasługi, kobiety tem samem czczą i siebie i podnoszą cały ród kobiecy ponad poziom miernoty. Mają one niezachwianą wiarę i zaufanie w siebie samych a tem obudzają i w innych wiarę i ufność ku sobie.

Kierując się tą myślą i wychodząc z przekonania, że dla kobiety jedynie kobieta ideałem być może, wydały Amerykanki życiorysy znakomitych kobiet, między którymi jedno z pierwszych miejsc zajmuje życie Małgorzaty Fuller. Dla nas imię to jest prawie obcem, zanadto bowiem stoimy zdala od socjalnego życia uczonego Bostonu, abyśmy okiem naszym objąć mogli pojedyncze, jakkolwiek wielkością sterczące postacie, a nieliczne pisma tej niezwykle uzdolnionej kobiety nie doszły jeszcze naszej wiadomości. O znaczeniu jej dla kraju rodzinnego, a mianowicie dla rozwoju duchowego kobiet amerykańskich wnosić już można z tej okoliczności, że po dziś dzień wydane zostały trzy opisy jej życia. Materiału dla tych biografij dostarczyły zapiski trzech gorących przyjaciół Małgorzaty, przyjaciółmi zaś tymi byli: Ralph Waldo Emerson, William Henry Chamings i James Freeman Clarke.

Przyjaźń tych trzech znakomitych mężów zawdzięcza Małgorzata jedynie rzadkim swym zdolnościom, powierzchowność bowiem wcale nie była ujmująca. Urodzona 23. maja 1810 w Cambridgeport obok Bostonu, Małgorzata wzrosła i wychowała się w pośród owych czystej krwi Purytanów, którzy ziemię za niebo oddać byli gotowi. Ojciec jej był adwokatem, dziadek księdzem. Głównem zajęciem jej otoczenia były modlitwa i tropienie grzechów.

Mali Purytanie wczesnie wyrabiali swój charakter — ucząc się przewyżczenia swych namiętności, a jeżeli mała Małgorzata uległa czasem namowom złego ducha kusiciela, surowy ojciec srogię na nią za to nakładał kary. Tak więc pierwsza jej młodość nie wesoło płynęła, o zabawie nikt nie myślał a jedynie o pracy i modlitwie. Już w szóstym roku uczyła się łaciny i gramatyki angielskiej, otrzymała w ogóle wychowanie chłopca, skierowane głównie ku nauce; ostra logika ojca żądała od dziecka jasnego zdawania sprawy z nauk przyjmowanych. Z rówieśniczkami wcale nie obcowała, wydawały jej się wszystkie głupie i dziecinne; tę właściwość zachowała i w późniejszym wieku, wiadomościami i rozumem przewyższała tak znacznie swoje towarzyski, że powstała między nimi przepaść, nie dająca się przekroczyć.

W liście datowanym z r. 1825 — a więc licząc lat 15, Małgorzata opisuje codzienne swe życie w sposób następujący:

»Wstaję przed godziną 5. z rana, odbywam godzinę przechadzki, następnie do godziny siódmej ćwiczę się w grze na fortepianie, poczem następuje śniadanie. Po śniadaniu wprawiam się w języku francuskim, czytam literaturę Europy południowej Sismondiego i Browna filozofję. O wpół do 10. idę do szkoły p. Perkins i uczę się greckiego do godziny 12., poczem wracam do domu i gram do 2. na fortepianie. Jeżeli przy stole jest rozmowa ożywiona, zostaję jeszcze chwilę po desercie, w przeciwnym razie szkoda mi czasu. Po obiedzie czytam dwie godziny po włosku, o 6. wieczorem wyjeżdżam na przechadzkę. Przed spaniem piszę mój dziennik, śpiewam i rozmyślam nad spędzonym dniem, zapisując nasuwające mi się uwagi«.

W następnym roku Małgorzata zajmuje się panią de Staël, Epiktetem, Miltonem, Racinem i kastylijskimi baladami. W r. 1827 przerabia krytyki starszych włoskich poetów.

Z tych wskazówek okazuje się, jak poważnie traktowała swoje wykształcenie i że cały swój czas poświęcała temu zadaniu. Gdy w r. 1832 Tomasz Carlyle wykazał zalety i zasługi literatury niemieckiej, Małgorzata natychmiast rozpoczęła naukę tego

języka, co przy znajomości języków starożytnych i nowożytnych, poszło jej bardzo łatwo. Już po trzech miesiącach czytała Goetego, Szylera, Tieka, Kernerera i Richtera.

W r. 1836 przybyła Miss Martineau do Ameryki, poznała Małgorzatę Fuller i zapoznała ją z Emersonem. Ten ostatni pisze o niej: »Nie jest wcale piękną, lecz ubiera się dobrze i wygląda jak dystygowana dama: ale mówi trochę przez nos i ciągle błyska oczyma, co czyni nieprzyjemne wrażenie.

Lecz wysoki jej umysł i dowcip znakomity wnet każą mu zapomnieć o tych drobnych wadach i Emerson obdarza ją serdeczną swą przyjaźnią.

Wnet stosunki rodzinne zmuszają Małgorzatę do zużytkowania swych talentów i w tym celu przenosi się do Bostonu, gdzie bądź to nauczycielstwem, bądź pracami literackimi zarabia na swoje utrzymanie i na koszt wychowania młodszego swego rodzeństwa. W owym czasie Emerson wydawał czasopismo »Dial« poświęcone nauce i literaturze i zastępujące nowe poglądy filozoficzne. Jakże wysoko musiał oceniać zdolność Małgorzaty, skoro w jej ręce oddał redakcję tego pisma! Pismo to nie miało funduszów i liczyło mało abonentów, nie było więc w stanie opłacać swych współpracowników. Małgorzata pobierała 200 dolarów za swą pracę, lecz dochody z czasopisma niebawem i tej skromnej sumy dostarczyć nie mogły, tak że w 4-tym roku istnienia zaprzestało wychodzić.

P. Greely, wydawca »New-York Trybuny« porucił teraz Małgorzacie codzienne dostarczenie artykułu wstępnego do swego dziennika. Była to już rzecz intratna, lecz natężająca. Równocześnie pisała dzieło »Kobiety IX. stulecia«, które w r. 1844, a więc w 34. roku jej życia zostało wydanem i obudziło podziw ogólny. Dziełem tem Małgorzata położyła kamień węgielny do terazniejszego ruchu kobiet w Ameryce i wystąpiła z zasadami swemi jako przeciwniczka współczesnej sobie George Sand. Kobieta winna być i pozostać zawsze kobietą; nie wolno jej nosić sukien męskich ani palić tytoniu, wolno jej wszakże od towarzystwa wymagać dla siebie prawa odpowiedniego, w granicach własnej swej natury leżącego rozwoju intelektualnego. Zaprzeczanie kobiecie tego prawa, przez Boga i naturę jej udzielonego, zmusza ją do walki z tymi, którzy jej wolę i zdolności ograniczyć pragną. Wielkie czytanie, dokładna znajomość starego i nowego świata, dostarcza Małgorzacie licznych cytatów, które jej dzieło umiętnie i sprytnie oświetlają. Goete, Fourier i Plato udzielają jej kilkakrotnie swej pomocy. Dzieło to u nas zbyt mało jest znanem i zastępuje dziś jeszcze na tłu-

maczenie. Następne jej dzieło zatytułowane »Uwagi o sztuce i literaturze« jest zestawieniem znakomitszych jej prac drukowanych w dziennikach i czasopismach.

(Gdy rodzeństwo podrosło, Małgorzata uwolniona od troski o ich utrzymanie z prac literackich i z dochodów swych jako współpracowniczka »Trybuny«, złożyła sporą sumę. Pragnęła teraz urzęczywistnie gorące, przez długie lata żywione życzenie, zwiedzenia Włoch. 1. sierpnia r. 1846 wyjechała, z sercem przepelnionem pięknymi nadziejami, — lecz o niepewne losy śmiertelne, nie miała już nigdy obaczyć swej ojczyzny! W samej przystani rozbił się okręt wiozący ją do ojczyzny i Małgorzata w głębi morza grób swój znalazła. W tak młodym wieku zesła ze świata, właśnie w czasie, gdy rzadkie jej zdolności nie przyłoczone ciężarem walki o byt, mogły najwspanialsze wydać owoce, gdy laur wieńczący jej skroń otwierał jej serca i podwoje. Cześć z jaką ojczyzna, a przede wszystkim kobiety amerykańskie pamięć jej przechowują, najpiękniejszym jest dla niej pomnikiem.

## O ROBOTACH RĘCZNYCH.

Zbliża się najweselszy i najruchliwszy czas całego roku. Przygotowania do świąt absorbują czas i myśli wszystkich bez różnicy płci i wieku, a wśród tych przygotowań, podarki na gwiazdkę prawie najważniejszą odgrywają rolę. Nigdy silniej, jak w tym czasie nie odczuwamy potrzeby sprawienia przyjemności lub uciechy bliskim nam osobom. Podarki na gwiazdkę mają bowiem coś sobie właściwego, a zupełnie odrębnego od wszelkich innych podarunków, mianowicie to, że podarunek ofiarowany o wiele większą sprawia radość i satysfakcję dawcy, niżeli otrzymany. — Ileż to dyplomacji i finezji używa się w tym czasie dla zbadania skrytych życzeń, dla wydobywania na jaw koniecznych a ukrywanych potrzeb, jakaż to radość gdy wpadło się na dobry concept, gdy udało się połączyć piękne z użytecznem! Najzawziętszy pesymista, gdyby okiem obiektywnego spostrzegacza przypatrzył się z dali tej zapobiegliwej krzątaninie przedświątecznej, zaprzestałby narzekać na brak idealizmu i nabrałby przekonania, iż miłość, czułość, poświęcenie i tym podobne szlachetne uczucia przepełniają serca ludzkie. Zaiste, przebrzydły egoizmu w miesiącu grudniu zda się być wyrugowanym z naszej planety i szuka sobie chyba przytulku na innej gwiazdce. — Ileż to przygotowuje się niespodzianek, ile skarbonek odaje mozolnie przez długie miesiące oszczędzany grosz, a wszystko to dla sprawienia przyjemności drugiemu!

Panom w tym względzie łatwiejsze przypada zadanie, szczerą ręką i gust wytworny załatwią dla nich tę sprawę wybornie: panie zaś do tych dwóch cnót dołączyć jeszcze muszą własną pracę. Wszystkie w ciągu roku nabyte umiejętności obecnie użytkować należy, a im więcej robótek ręcznych okala drzewko na Wilję, tem większa radość, tem większa chluba. To też wszędzie spotrzec się daje obecnie pewna tajemniczość postępowania żeńskich członków rodziny; jakieś nagłe zarumienienie się, jakieś raptowne ukrywanie czegoś, starmiejsze niż zwykle zamykanie szaf i szufladek. Już dobrze to, jeżeli jesteśmy tak daleko; lecz częstokroć czas lub okoliczność nie pozwoliły zająć się zawczasu potrzebnymi przygotowaniem i ostatni tydzień zastaje niejedną piękną główkę w pełnym kłopotcie, coby też w tak krótkim czasie jeszcze pięknego sporządzić się dało? Chcąc czytelnikom naszym sprawić z naszej strony przyjemność na gwiazdkę, spieszymy się z pomocą i przedkładamy mały wybór robótek, które miernym kosztem, małą pracą i w krótkim czasie wykończyć się dadzą, a które mimoto stanowią eleganckie podarki na gwiazdkę, i nadto mają za sobą wielce w naszych czasach cenioną zaletę oryginalności.

Któżaż matka lub ciotka nie ucieszy się pięknym stojącym koszykiem do robót, sporządzonym własną ręką córeczki lub siostrzenicy? Oto przepis: 4 plecione trzepaczki zbija się razem gwoździkami w wysokości 34 cm. od końca rączki, uważając przytem, aby postawione na podłodze równo stały. Plecionki w najszerszem miejscu spaja się mocnym drutem, a następnie owija grubym jedwabnym sznurem, uważając, aby sznur przykrył drut; sznur wiąże się następnie w kokardę i końce sznura zaopatruje się pomponami, które zwieszają się po dwa przy każdym spojeniu plecionek. Takiż sam sznur z pomponami owija się około nóg koszyka w miejscu gdzie trzepaczki zbite są gwoździami. Wnętrze koszyka okrywa się atlasem. Robi się z tektury okrągłe dno, którego średnica wynosi 21 cm., z obydwu stron pokrywa się to dno atlasem koloru odpowiedniego sznurom (pawio-niebieski, bordeaux lub pąsowy będzie najodpowiedniejszy). Kawał atlasu 144 cm. długi, a 56 cm. szeroki, składa się we dwoje tak, aby szerokość wynosiła tylko 28 cm., marszczy się odpowiednio do obwodu dna i przymocowuje do dna; z drugiej strony w odstepie 2 cm. od brzegu przymocowuje się wewnątrz drut stosownie długi do górnego obwodu koszyka (mniej więcej 73 cm.) i krytymi ściegami atlas przyczepia się do plecionek.

Pięknym podarunkiem dla panów będzie następujący kosz na papiery, odznaczający się zarówno taniością materiału, jak łatwością sporządzania. Do roboty tej potrzebny jest najpierw kwadratowy kawał mocnej tektury na 69 cm. długości i szerokości. Jeden róg tego kwadratu ścina się na 9 cm.; tektura obwleka się z obydwu stron pięknym japońskim papierem, który jest obecnie

artykułem w robotach ręcznych chętnie używanym; otrzytać można papier taki w większych handlach papieru. Następnie tektura w ten sposób przyozdobiona zwiija się w trąbkę, tak izby ścieży róg stanowił dół trąbki, 2 i pół ctm. od brzegu, a w odstepach 4 i pół ctm., przedziurawia się boczne krawędzie tektury sztydłem lub wykłuwaczem, a dziurki przewleka się na sposób sznurowania sznurem sznelowym złotą nitką przeplatany koloru oliwkowego; sznelowa borta oliwkowa przylepia się gumą na zewnętrznej stronie, dokoła górnego brzegu trąbki. Na górnym rogu trąbki umieszcza się ze strony wewnętrznej sutka kokarda ze wstążek atlasowych 2 i pół ctm. szerokich w 3 kolorach: bordeaux, dzikim i brunatnym; końce kokardy zaopatruje się pomponami w odpowiednim kolorze. Podobna kokarda zdobi zewnętrzny brzeg trąbki na stronie przeciwległej, a u dolnego ścieżtego rogu zwiesza się kilka pomponów. Przy górnej kokardzie przymocowane jest ucho ze wstążki, na którem to kosz zawieszają się na jakiejś wystającej części biurka.

Przedmioty z kanwy papierowej — robotą en relief, które przed laty z wielkiem zamiłowaniem wyrabiano, wchodzą obecnie znów w modę, naturalnie ze zmianami odpowiedniami do dzisiejszego bardziej wyrobionego gustu. Podajemy tu opis ramki na fotografię: Z kanwy koloru brunatnego wycina się formę ramki; następnie wycina się kwadraciki, z których każdy jest o 1 rząd mniejszy niż poprzedni; 5 takich kwadratów układa się jeden na drugim, tak iż na wierzchu wypada najmniejszy, podczas gdy największy leży na wykrojonej formie; wszystkie kwadraciki razem przyszywa się do formy filozelą koloru kanwy, lub koloru całkiem odmiennego, np. bordeaux, lub niebieskiego, tym sposobem, iż najpierw przeciąga się nitkę filozeli przez narożne dziurki najmniejszego kwadratu, potem większego itd.; każdy kwadrat kanwy będzie więc otoczony na krawędzi blyszczącą nitką filozeli, przez co bardzo plastycznie występuje. Każdą taką piramidkę z kwadracików przymocowuje się na wykrojonej formie, jedną pod drugą w odstepach dwóch rzędów dziurek; na tych odstepach zaś robi się rząd krzyżyków filozelą. W ten sam sposób można sporządzić i inne małe, a ozdobne przedmioty, np. szkatułki na sztony preferansowe, szkatułki na klejnoty w formie budki dla psa, książeczki na igły i szpilki itp.

Zupełnie oryginalną rzeczą, a dającą się z okazji świąt łatwo wykonać, jest kapka na stół opatrzona autografami znajomych. Kwadratowy kawał sukna oliwkowego, brunatnego lub wiśniowego — wielkości dowolnej, obszywa się do koła grubym, jedwabnym sznurem i zaopatruje na rogach odpowiednimi kutasami. Kapka ta leży w pogotowiu, a każdego gościa, na którego własnoręcznym podpisie zależy, prosi się, aby kredą umieścił na kapek swój podpis. Podpisy te krzyżują się w najro-

zmaitszych kierunkach; później wszystkie te podpisy wyszywa się różnokolorowym jedwabiem kordonkowym, lekkim ścięciem łańcuszkowym, płaskim lub wodnym.

K. L.

## Romans starego Smitha.

Nowelka z angielskiego.

(Dokończenie.)

Niebawem rozeszła się naturalnie po kasarni wieść, że obaj rywale mieli byli rozmowę w pomieszkaniu Topshama, i z ogólnem zajęciem oczekiwano dalszego toku wypadków. Sprawa doszła do punktu kulminacyjnego, kiedy pewnego dnia wpadł Topsham do wspólnej jadalni i zawołał głosem wściekłym, przerywającym:

— Gdzie jest Smith? gdzie on jest? Przysięgam na Boga, że chcę go wyzwać. Czy nie widzieliście go?

— Stary Smith? — odparł pod nosem afektowany jakiś pomocnik. — Poprosił o urlop na dziś popołudniu i odjechał pociągiem kolejowym o godzinie piątej do miasta.

— Czy tak, istotnie? O ten — ten — niegodziwiec!

Niezwykły ten wybuch gniewu zwrócił na siebie uwagę wszystkich obecnych, którzy przystępując do młodego oficera, pytali, co też Smith popełnił.

— Odjechał z Gracją Clough! Puszcze się za nim w pogoń, albo powiecie, że nie nazywam się Bob Topsham!

\* \* \*

W parę dni po tem zajściu stary Smith wchodził po stopniach wiodących do pomieszkania Lorda Craya. Słowa »Regiment Hopshire« wypisane na karcie jego, sprawiły, iż został bezzwłocznie przypuszczony, aczkolwiek lord rzadko tylko przyjmował. Smith znalazł się wobec mężczyzny wysokiego i smukłego, który stał na pośrodku obszernego ciemno tapetowanego kabinetu swego.

— »Ah! — pan Smith!« — rzekł lord Cray, postępując ku przybyszowi — cieszy mnie to bardzo, że pana widzę, a jednak — trzęsę się zawsze ile razy widzę kogoś z regimentu, na myśl o synym, tym nieponiu.

— W jego sprawie przybywam i ja, rzekł Smith.

— Czy mogę spodziewać się wiadomości dobrych, czy złych? zapytał lord Cray.

— To zależy zupełnie od tego, jak pan za-

patrywać się będziesz na sprawę; złemi, wiadomości tych właściwie nazwać nie można.

— Hm, więc odemnie to ma zależeć. No, no, cóż więc za sprawa?

— Zakochał się w pięknej dziewczynie, odparł stary Smith.

— Jest to epidemicznem u niego, rzekł lord Cray. — Ale jeśli panna jest z dobrego domu i stosunki jej są odpowiednie, w takim razie cała sprawa niechybnie nie obchodziła. Jeśli chce się gwałtem żenić, niech się żeni — przypuszczam, że nie uchybi godności swej. Dla takiego nieponia żeniaczka jest może rzeczą najlepszą.

— Ha — zachodzą istotnie pewne trudności; panna, o której mowa, pochodzi wprawdzie z dobrej rodziny i odebrała staranne wychowanie, ale nieszczęsne stosunki rodzinne zmusiły ją szukać utrzymania drogą pracy. Jest obecnie w magazynie mód.

— W magazynie mód! zawołał lord Cray przerażony. — Cóż wobec tego znaczy dobre urodzenie jej i wychowanie? A, do stu diabłów! A rzecz już o tyle postąpiła, że pan przychodzisz tu do mnie, jako dobry przyjaciel i orędownik?

— Tak jest. Interesuję się synem pańskim i ową dziewczyną młodą. Nietylko pozwoliłem sobie udać się do pana w tej sprawie, ale i dziewczynę usunąłem na razie.

— Narzuciłeś się pan zatem owej panie jako obrońca? zapytał lord Cray. — A jeżeli powód całego nieszczęścia jest usunięty, nacóż jeszcze mamy mówić o tej sprawie? Bob zakochanym już był dwadzieścia cztery razy i nie umarł z tego. Czemuż więc rzecz tą razą miałaby być tak niebezpieczną?

— Dlatego, że dziewczyna kocha go szczerze i że i jego miłość tą razą jest prawdziwą. Jest ona wprawdzie chwilowo od niego oddaloną, ale nie wiem, jak rozdział ten na niego podziela.

— Hm! Syn lorda Craya nie może naturalnie poślubić panny sklepowej, chociaż sam jestem handlarzem dziczyzny i zboża. — odparł szlachcic — Powiedziałeś pan, że dziewczyna ta jest z dobrego domu? Gdzie się obecnie znajduje, panie kapitanie?

— U ojca na wsi.

— Gdzie? Czem jest jej ojciec?

— Jest księdzem. Musi on wyżywiać wielką rodzinę mając pensję niedostateczną, wskutek tego zmuszony jest córkę swą wysyłać w świat. — rzekł stary Smith.

\* \* \*

Lord Cray przechadzał się w mileczeniu po kabiniecie swym; wreszcie zatrzymał się przed Smithem i rzekł:

— Kapitanie, zabierz pan dziewczynę ową eo prędzej z magazynu. Zwracam się z tem do pana w przypuszczeniu, że łączą pana z nią stosunki o tyle ścisłe, że możesz pan to uczynić. Skoro potrzeba pieniędzy, proszę mi o tem donieść. Młodego nieponiowi pozwól pan iść własną drogą. Nie wiem, jak panu mam dziękować za trud pański, gdybyś pan się nie był wdał w tę sprawę, wówczas samą myśl syna mego, ażeby połączyć się z panną sklepową, byłbym traktował z największą surowością.

— Mogę więc powiedzieć synowi pańskiemu, że... — że...

— Że może się żenić, czem prędzej tem lepiej

\* \* \*

Z obliczem rozpromienionem przestąpił stary Smith próg kasyna w Hopstire. Bob Topsham wlepił w starego kolegę wejrzenie nieokreślone. Smith zauważył od razu, że stanowił przedmiot ogólnego zajęcia i że podczas nieobecności jego rozciągnęła się nad jego głową burza, która gotowa była wybuchnąć każdej chwili.

Stosownie do zwyczaju swego, Smith tuż po ukończeniu obiadu wstał i wyszedł z jadalni. Bob poszedł za nim, a za drzwiami rzekł doń:

— Czyż nie masz pan zamiaru wytłumaczyć mi swe postępowanie?

— Halloh! zawołał Smith, śmiejąc się — dziwne to żądanie, wystosowane przez młodego człowieka pozostającego w służbie za ledwie od lat trzech, do kolegi starszego o lat piętnaście?

— Wiek pański nie przeszkadza mi zainteresować pana, nawet gdybyś pan był starszym odemnie o sto lat! odparł młody oficer — Byłeś pan w...

— Cicho, cicho, przerwał mu stary Smith. Nie posuwaj się pan za daleko. Chodź pan ze mną do mego pomieszkania.

Skoro tylko drzwi pomieszkania tego zamknęły się za nimi, stary Smith zapytał Topshama bez dalszego wstępu:

— Jesteś pan więc jeszcze zakochany w Gracji Clough?

— Naturalnie! zawołał Bob zdziwiony, cóż to pytanie ma oznaczać? Pan mi ją uwiodłeś! Postąpiłeś pan sobie jak..

— Tylko spokojnie, kochany przyjacielu, odparł stary Smith, kładąc ręce swe na ramię wzbu-

zonego młodzieńca. — Prawdą jest, że uprowadziłem Grację — ale uczyniłem to tylko dla dobra pańskiego. Czy kochasz pan Grację istotnie tak głęboko, że spodziewasz się być dobrym dla niej mężem?

— Zapewne, zapewne, zawołał Bob, patrząc na Smitha ze zdziwieniem. — Ale powtarzam: co to pytanie oznacza? Co pan uczyniłeś?

— Postarałem się o zezwolenie ojca pańskiego na związek z Gracją — oto wszystko!

— To — to pan uczyniłeś? wydusił Bob z trudnością. — Pan chciałyś odstąpić mi Grację, którą pan kochasz tak gorąco jak i ja? Gdzie jest Gracja?

— W domu swego — mego ojca.

— W domu ojca Gracji — i pana? Gracja jest zatem...

— Siostrą moją!

## Kroniczka dla kobiet.

— W krakowskim muzeum techniczno-przemysłowem rozpoczęły się już zwykle wykłady dla kobiet: na wydziale przyrodniczym wykładają stale: dr. Wierzbicki astronomję, prof. Szajnocha mineralogję i geologję, dr. Jaworowski zoologję, prof. Rostański botanikę, dr. Tomaszewski fizykę, prof. Bandrowski chemję, prof. Grabowski higienę. Na wydziale historyczno-literackim — prof. Ziemia literaturę polską i estetykę, p. Ehrenberg literaturę powszechną, prof. Lewicki historję polską, dr. Sokołowski historję powszechną, p. Mizioł pedagogikę. Nadto przedmioty niestałe wykładają prof. Dembiński, p. Dubiecki, prof. Malinowski, p. Bylicki i prof. Łaszczykiewicz: „O harmonji barw ze szczególnem uwzględnieniem robót kobiecych i stroju“. Na wydziale sztuk pięknych udzielaną jest nauka perspektywy, historja sztuki, technika artystyczna, teorja ornamentyki; rysunek w pięciu oddziałach z uwzględnieniem kompozycji, rzeźbiarstwo i drzeworytnictwo; główne kierownictwo w wydziale sztuk pięknych przyjął p. Jan Matejko. Nadto istnieją wydziały handlowe i gospodarcze, tudzież specjalne kursy języków nowożytnych.

— W Warszawie powstał projekt wznowienia kursów dla kobiet z kierunkiem realnym. W tym celu ma być wkrótce przesłane podanie do właściwego ministerstwa o udzielenie odpowiedniego pozwolenia.

— Z powodu niewpuszczenia kobiet na ostatnią sprawę sądową w Rosji znanej „psychopatką“ Siemionowej, p. Walička-Goldsztejn, lekarz-kobieta, wystąpiła z podaniem do ministra sprawiedliwości wykazując, że kobiety interesujące się ekspertyzą sądową jako specjaliстки, nie powinny być podciągane pod ogólny zakaz.



# RUCH LITERACKI I ARTYSTYCZNY

## Uniwersytet Jagielloński.

Niedawno opuściło prasę wspaniałe wydawnictwo p. t. »Kronika uniwersytetu jagiellońskiego od r. 1864 do r. 1887 i obraz jego stanu dzisiejszego wraz z rzeczą o rektorach od czasów najdawniejszych. Wydanie senatu akademickiego, na pamiątkę otwarcia *Collegium novum*. Kraków. Z drukarni Uniwersytetu jagiellońskiego. 1887«.

Kronika ta streszczająca dzieje pierwszego uniwersytetu w Polsce poprzedzona jest wstępem historycznym, opowiadającym dzieje *Almae matris* krakowskiej od chwili kiedy Kazimierz Wielki powołał instytucję do życia. Okres dziejów uniwersytetu krakowskiego do r. 1864 streszczony jest na kilku stronnicach, gdyż stary uniwersytet historii wyczerpującej swoich dziejów jeszcze nie posiada i należy jej oczekiwać, jak robi nadzieję komitet redakcyjny w notatce odpowiedniej, dopiero w r. 1900, tj. w 500-letnią rocznicę powtórnego założenia uniwersytetu. Źródłowy materiał obfity znajduje się w archiwum i bibliotece uniwersyteckiej, z czego już sporo ogłoszono drukiem. Trudności przeto nadzwyczajnych w zestawieniu i w założeniu takiej historii nie ma wcale.

Sądzymy, że przysłużymy się naszym czytelnikom, podając z świetnych dziejów tej prastarej naszej akademii kilka ważniejszych szczegółów, równie jak i przytoczeniem kilku dat z życia jej teraźniejszego.

Uniwersytet jagielloński, ufundowany, jak wiadomo w r. 1364, przez hojnego Kazimierza W., odnowiony i wskrzeszony niejako został w r. 1400 przez Jadwigę. Wiek XV. i początek XVI. jest okresem jego chwwały i wielkości. Członkowie akademii biorą ważny udział w obradach soborów i synodów, nauki ścisłe stoją na wyżynie dorównywającej zagranicę i w mury Krakowa spieszą z odległych stron spragnieni wiedzy humaniści dla jej zdobycia dla prądów odrodzenia i tej najdalej wysuniętej ku wschodowi siedziby nauki.

Nietrwają jednak świetność wszech rzeczy. Już w pierwszej połowie XVI. w. zaczyna uniwersytet podupadać, zamiera w nim życie naukowe, nie

umiano się bowiem zdobyć na hojniejsze jego uposażenie. W w. XVII. z ubytkiem soków żywotnych narodu, zamiera i uniwersytet krakowski prawie zupełnie. Uśpienie narodu przez wiek cały XVIII. odbija się też boleśnie na uniwersytecie krakowskim. Naród bawi się i nie ma czasu ani środków na wyprowadzenie akademii z uśpienia. Stojąc nad przepaścią ocknął się naród i rzucił się gorączkowo do nowego życia, poczył się dźwigać na każdym polu. Komisja edukacyjna popełniła i stary uniwersytet do ruchu. Spadły na ojczyznę kłęski i reforma przyszła za późno. Trzeci rozbiór Polski oddał Kraków pod rządy Habsburgów, wojny napoleońskie wcieliły go w r. 1809 do ks. Warszawskiego, kongres wiedeński wreszcie w r. 1815 zrobił go stolicą miniaturowej Rzeczypospolitej krakowskiej.

W 30-letnim tym okresie poczęła się dźwigać Akademia napowrót, rekonwalescencja była powolna, lecz w stosunku do straszego chorobliwego stanu był już postęp znaczny.

W r. 1846 spadła na Galicję a z tem i na uniwersytet krakowski kłęska największa, grożąca zupełnem wynarodowieniem — germanizacja.

Z chwilą, gdy Kraków przestał być wolnem miastem i dostał się pod rządy austriackie, na uniwersytecie krakowskim wprowadzono wykłady niemieckie, znosząc katedry polskie jedną po drugiej. Część katedr zostawiono w rękach dotychczasowych profesorów, jednak z obowiązkiem wykładu niemieckiego i ci uratowali akademię krakowską od zgubnych skutków potępienia godnego systemu, nasyłani bowiem *von draussen* profesorowie, mogą raczej zrazić młodzież do studjów niż ją do pracy zachęcić i do nauki zapalić.

Dnia 4. lutego r. 1861 przywrócił obecnie panujący cesarz wykładom język polski, jednak nie całkowicie, na wydziale prawnym i filozoficznym głównych przedmiotów udzielano w języku niemieckim jeszcze czas długi. Dopiero w r. 1870 zniszczono ostatecznie dwujęzyczne wykłady i uznano język polski jako jedyny wykładowy.

Jak zgubną była dla akademii germanizacja najlepszym tego dowodem, że w r. 1854 spadła liczba studentów do 170 (!) Obecnie zaś wynosi 1171, to znaczy nie mniej ni więcej jak o całe tysiąc więcej. Swoją drogą należy oczekiwać spa-

dnienia tej cyfry w przyszłych latach, gdyż młodzież wychodząca z uniwersytetu nie ma gdzie się pomieścić odpowiednio i przyjmuje zajęcia dla chleba, do których nie potrzeba wyższych studjów.

Kronika uniwersytecka zaznacza, że od lat 17 najwyższa ta starożytna szkoła dźwiga się nieustannie i podnosi, pomnaża się nowemi katedrami i rośnie w środki naukowe. Daleko jej jeszcze wprawdzie do wszechnic innych europejskich, »bez przesady jednak i samochwalstwa«, mówią pp. kronikarze, akademja od wieku XV. nie znajdowała się w tak świetnym, jak obecnie stanie. Dobrze, iż pp. redaktorowie sami się pochwalili, gdyż Bogiem a prawdą, my tego świetnego stanu sprawdzić nie możemy.

Ale wróćmy do kroniki. W r. 1886 wznie- siono nowy gmach uniwersytecki t. zw. »Collegium novum«, na pamiątkę którego otwarcia kronikę ni- niejszą wydano.

Po wstępie powyższym przychodzi krótki rys stanu uniwersytetu w r. 1864, poczem przechodzimy do kroniki ogólnej.

Dowiadujemy się z niej, że senat w r. 1865 był przez rządznaczony, czyli »oktrojowany«. Senat ten wypracował dla przyszłych senatów i wydziałów poszczególnych regulamina, które do dziś dnia się utrzymały. Senat »oktrojowany« utrzymał się kilka miesięcy tylko; już bowiem w półroczu letniem powróciła instytucja senatorów wybieralnych. Na r. 1869 przypada uroczystość zaprowadzenia na uniwersytecie jagiellońskim katedry zwyczajnej historii polskiej. Pierwszym profesorem powołanym na zaszczytne to miejsce był Józef Szujski.

Kronika idzie latami, zatrzymuje się na fak- tach drobnostkowych, notuje z ścisłością wielką zmiany zasze w składzie ciała profesorskiego, nowe przepisy co do porządku i sposobu składania egzaminów, organizacji, wizyty dostojników, pogrzeby, konsekracje biskupie itd, w czem wszystkim uni- wersytet czynny brał udział.

Znajdujemy tu szczegółowe, drobiazgowo rzecz- y profesorów uniwersytetu, wszy- tykolwiek przez mury jego się prze- poszczególnych zakładów uniwersy- i przybytek katedr, pracownie, labo- ratorya, pensja i tym podobne notatki. W nie- szych popełniono fatalne myłki, daty- zają się i z sobą się kłócą, co- tego znaczenia, jakie mu chcieli nadać- stanowczo powinno być prze- strzeżeniem.

W zmi- najobszerniejszym zatytułowanym- znajdujemy szczegółowy opis za-

kładu. Życiorysy profesorów jużto powtórzone z po- przedniego działu (»Kroniki ogólnej«), jużto uzu- pełnione i pomnożone. Życiorysy obecnych profes- orów Uniwersytetu napisane najprawdopodobniej przez nich samych, zatem wyczerpujące, mimoto grzeszą często brakiem doskonałości. W niektórych przez jakąś sromotną wstydlivość wydarło napię- kniejsze karty. Tak zrobiono w życiorysie Szujskiego o którym mówi »Kronika ogólna«, że podczas po- wstania w r. 1863 był gdzieś osiadły na wsi, tak zrobił i w notatce swego żywota Stanisław hr. Tar- nowski, który to co go zdołało, wyrwa z swej pa- mięci i wstydzi się dzisiaj przyznać, że kiedyś czuł żywiej i miał serce bijące z poświęceniem dla ojczyzny.

Nie chcąc podehwytywać niedokładności in- nych, które wolimy przypisać omyłkom i brakowi ścisłego skrutynium tej koregi, wyliczać, ani wska- zywać ich nie będziemy. Nie możemy jednak po- minąć milezieniem śmieszności uderzających zbyt często w tych życiorysach. Notowanie błahych wy- padków, w jakich panowie ci brali udział, tytułów członków towarzystw lub komisji dziś już nieistnie- jących, nie wydaje się nam zgoła potrzebnem i można było o tyle przynajmniej druku i papieru oszczędzić, zwłaszcza że wiele bardzo zmarnowano na zanotowanie prac członków Uniwersytetu. Wy- kaz taki dzieł i broszur, jakoteż poważnych rozpraw jest pożądanym i potrzebnym, czy jednak p. A. na- pisał artykuł o czesnem w »Czasie«, a p. B. spra- wozdanie z wystawy obrazów w innym dzienniku, lub wreszcie p. C. o zapalkach w »Kronice co- dziennej«, to zdaje się nikogo nie obchodzić nie będzie i ani chwały Uniwersytetu, ani szczególnie- szego blasku autorom znakomitych tych artykułów nie przyniesie. Gdyby każdy z starszych dziennika- rzy, chciał wyliczyć tytuły artykułów przez siebie napisanych, wątpimy, aby księga nawet tak gruba, jak »Kronika« na to wystarczyć mogła.

Jeden z profesorów, przy którego życiorysie »dzieł« jego nie podano, wydrukował je na oso- bnej kartce i dołączył do książki. Cóż w wykazie tym znajdujemy? Zapewne dzieło, które pojawie- niem się swoim miało zupełny przewrót wywołać w nauce. Być może, ale oto tytuły: »Nowy sposób znieczulenia przy wyjmowaniu zębów« i »O użyciu jodoformu w dentystyce«. Bez komentarzy.

Pod zwierzchnictwem senatu akademickiego znajdują się seminarja, gabinety, drukarnia uniwer- sytetu i bursa akademicka im. św. Barbary, mie- szcząca obecnie 108 uczniów, pomiędzy tymi 20 studentów uniwersytetu. W bursie dostają uczniowie wszystko prócz żywności, o którą sami postar- ać się muszą.

Uniwersytet jagielloński obfituje w rozliczne fundacje stypendyjne. Jest ich blisko czterdzieście. Niektóre z nich sięgają bardzo odległych czasów, niektóre są zupełnie nowe. Pod wyłącznym zarządem senatu znajduje się 25 fundacyj, nad innemi ma tylko dozór i kandydatów nie może przedstawiać Wydziałowi krajowemu.

Bardzo zajmującą jest fundacja nosząca tytuł »Borkazne«, pochodzące od ks. Borka, dziekana kapituły krakowskiej, który zmarł w r. 1556 i zapisał na zapomogi dla biednych uczniów znaczne sumy. Przyłączone z czasem inne fundacje o tym samym celu, tę samą otrzymały nazwę i wcielono pod »Borkazne«. W r. 1774 wynosiła ogólna suma tej fundacji 147.674 złr. pol., 300 marek starych i 2333 dukatów.

Różne manipulacje rządu austriackiego, inkameracja funduszy uniwersyteckich, spowodowała, jak np. w r. 1815 redukcję »Borkaznego« kilkakrotną. Za Rzeczypospolitą krakowską szło tytułem zapomogi już tylko 3000 złr. pol., czyli 750 złr. rocznie, obecnie przeznaczył rząd na »Borkazne« sumę 1500 złr. rocznie, z której utworzono 15 stypendjów po 100 złr., z tych ośm przeznaczonych dla uczniów uniwersytetu jagiellońskiego, reszta dla innych zakładów naukowych krakowskich.

Pan minister Dunajewski, któremu »Kronika« jest poświęconą przysłużyć mogłby się bardzo, gdyby sumy stypendyjne z tej fundacji potrafił wywindykować i powrócić je przeznaczeniu zgodnemu z wolą ofiarodawców.

W »Kronice« znajdujemy także dział poświęcony historii rozwoju stowarzyszeń akademickich, acz te albo wcale, albo w bardzo niewielkiej mierze powstanie swe i egzystencję senatom Uniwersytetu zawdzięczają. Obecnie znajduje się wśród młodzieży akademickiej dziesięć stowarzyszeń. Wszystkie powstały po r. 1864, istniejąc przedtem tajnie lub niezorganizowane. Dzieje ich i rozwój spisane są pobieżnie i nie uwidoczniają zwrotów w kierunku moralnym i przewrotów jakie w łonie młodzieży w okresie ostatnich lat zaszły.

»Kronikę« zamyka rzecz o rektorach od czasów najdawniejszych, wraz ze spisem wszystkich rektorów od r. 1400 do obecnej chwili«, przez dr. Karbowiaka. Znajdujemy tam początek i rozwój tej instytucji, szczegółowy opis insygniów i strojów przez rektorów rozmaitych czasów używanych, wreszcie wykaz chronologiczny wszystkich rektorów uniwersytetu jagiellońskiego.

Dzieło, o którym mowa wydane jest okazałe nawet zbytownie, poprzedzone zaś jest przedmową obecnego rektora Stanisława hr. Tarnowskiego, ofiarowująca pamiątkową tę książkę, ministrowi

finansów p. dr. Dunajewskiemu, dawniejszemu profesorowi Uniwersytetu jagiellońskiego, za którego staraniem i wpływem »Collegium novum« stanęło w stylu napaszyszym i karmelkowym.

Pomijając usterki i niedokładności, jakie niepotrzebnie ozdobiły tę książkę, jesteśmy zdania, że komitet redakcyjny nieźle przysłużył się historii nauk w Polsce, podając do publicznej wiadomości rzecz opartą na aktach i dokumentach, nie dla wszystkich w każdej chwili dostępnych.

*St. Błotnicki.*

## Kornel Ustjanowicz i jego „MOJŻESZ“.

Kornel Ustjanowicz jest człowiekiem, którego wielu ludzi poznało, ale którego mało kto zrozumiał; wielki utwór jego malarski »Mojżesz« jest dziełem, którego wiele już osób widziało, dawniej we Wiedniu, obecnie we Lwowie, ale które mało kto pojął. Ażeby pojąć i ocenić należycie dzieło sztuki plastycznej, do tego nowsza szkoła estetyczna z Tainem na czele, studjować każde indywidualność i życie artysty, jako wytwory warunków rasy, klimatu, atmosfery historycznej. Ażeby zaś zrozumieć indywidualność artysty, która po za temi uchwytne danymi genetycznymi, zawiera w sobie głębie psychiczne — zagadki, do których jedna tylko intuicja kluczem być może — do tego potrzeba kongenjalności takiej, z jaką Lewes odgadł Goethego, Taine — Szekspira, Klaczko — Michała Anioła i Dantego. Nie łatwym by to więc było zadaniem, gdybyśmy »Mojżesza« Ustjanowicza ocenić i rozebrać chcieli, stosując się całkowicie do wymagań nowoczesnej estetyki krytycznej. Ani ramy pisma niniejszego, ani materiał na którego podstawie rzucamy szkic niniejszy nie są po temu, ażebyśmy się z zadania tego należycie wywiązać mogli. Atoli zarówno charakter dzieła, o którym pisać chcemy, jak indywidualność artysty — twórcy jego, zbyt są oryginalne i uwagi godne, ażebyśmy o »Mojżeszu« zdać mieli sprawę wedle szablonu zwykłego. Spróbujemy więc — aczkolwiek uczynić to możemy tylko niedostatecznie — rzucić światło na dzieło, wyswłajając główne rysy indywidualności artysty.

Kornel Ustjanowicz urodził się w roku 1850. Uczęszczał do ginnazjum we Lwowie, kształcił się w malarstwie pod kierunkiem profesora Ostrowskiego. W r. 1859 wyjechał do Wiednia, gdzie poczynił dalsze studia w szkole malarskiej, kolegując z Grabowskim.



turem Grottgerem. Był on wówczas początkującym, podczas gdy Grabowski, Lefler i Grottger dochodzili do samodzielności artystycznej; łączyła ich jednak przyjaźń, oparta na jedności zapatrywań. We Wiedniu skorzystał Ustjanowicz najbardziej ze wskazówek Jana Nepomucena Geigera, profesora kompozycji; jemu to zawdzięcza surowe przestrzeganie jednolitości i symetrii linii kompozycyjnej. W ogólności jednak pobyt jego ówczesny we Wiedniu nie wielkie miał znaczenie dla wykształcenia i rozwoju jego artystycznego, gdyż nie posiadając środków dostatecznych nie mógł skupiać sił swych w kierunku artystycznym. Po części dla braku funduszków, po części pod wpływem wypadków politycznych, wraca Ustjanowicz r. 1863 do kraju. Przybył najsamprzód do Krakowa, gdzie będąc Rusinem, ale połączonym węzłami sympatji ze społeczeństwem polskim, brał udział w ruchu powstańczym bratniego narodu. Po upadku powstania, Ustjanowicz przenosząc się do wschodniej części Galicji, pomiędzy Rusinów, ustalił program swój polityczny, któremu niezachwianie pozostał wiernym. Będąc gorącym patriotą rusińskim, pragnął samodzielnego rozwoju narodowości swej, jako równoprawnionego i samoistnego członka rodziny ludów słowiańskich; rozumiał jednak dobrze, że z pomiędzy tych ludów, Polacy są dla Rusinów przyjaciółmi bliższymi i bardziej bezinteresownymi aniżeli Rosjanie a raczej rząd rosyjski. Zapatrywanie to utwierdziło się u Ustjanowicza głębiej jeszcze, kiedy około r. 1868 objeżdżając Rosję, zwiedził i Petersburg. Bronił on poglądu swego i starał się rozkrzewiać go pomiędzy Rusinami, i w tym duchu napisaną była polityczna broszura jego »Rajewski i panslawizm rosyjski«. Wspominamy o tem raz, ażeby przypomnieć o ile Ustjanowicz zasługuje na sympatję społeczeństwa polskiego, powtóre ażeby scharakteryzować polityczną jego działalność.

Wróciwszy do kraju bez pokończonych studjów malarskich, Ustjanowicz nie porzucił jednak działalności artystycznej. Malował on po trochu portrety, głównie zaś obrazy na płótnie i na murze do cerkwi rusińskich. Przez szereg lat wiódł w ten sposób życie wędrownego artysty i agitatora politycznego: przyjmowany wszędzie przez księży rusińskich ze znaną ich serdecznością i gościnnością, tworzył po cerkwiach znaczne częstokroć kompozycje w przeciągu kilku tygodni, posługując się malarzami i robotnikami, którzy mu oddani byli do dyspozycji. Równocześnie, żyjąc wśród ludu, przejmował się coraz głębiej sprawą odrodzenia kulturalnego Rusinów; pragnął rozwoju literatury i sztuki rusińskiej.

Poczuł sam inspirację poetycką i wydał poezje ce-

nione przez inteligencję rusińską. Tragedja jego »Olega« pierwsza otrzymała nagrodę literacką przeznaczoną przez »Besidę Ruską« z funduszków Wydziału krajowego. Przeniósłszy się do Lwowa Ustjanowicz przez 1½ lat prowadził redakcję »Zerkala«, dostarczając sam tekst i ilustracyi, będąc zarazem i administratorem i ekspedytorem pisma. Tak tedy działalność polityczna pochłonać miała prawie całkowicie zdolności człowieka tego, który zawsze w pierwszej linii był patriotą, w drugiej dopiero artystą. Nadchodził r. 1886, Ustjanowicz liczył już lat 46. Tworząc znów raz jedną ze »straconych« swych kompozycyji w cerkwi jakiejś, poczuł tak silny popęd do rozwinięcia władz swych artystycznych, że w jesieni tegoż roku, bez dostatecznych funduszków, ale pełen siły, nadziei i gorącej żądzy pracy, udał się do Wiednia. Po czterech miesiącach niezamordowanej pracy w akademji sztuk pięknych, przerobiwszy co ważniejsza w zakresie studjów anatomicznych, perspektywicznych, rysunkowych i kolorystycznych, Ustjanowicz przystąpił do większej pracy samodzielnej. Pracą tą był właśnie »Mojżesz« wystawiony obecnie w sali Domu Narodnego we Lwowie. Nadmieniamy, że kompozycję tę stworzył Ustjanowicz jeszcze przed laty na ścianie cerkwi malej, w przeciągu dni kilku; obecne zaś wykonanie jej zajęło mu cztery miesiące czasu.

Na tem kończymy wiadomości o życiu twórcy »Mojżesza«. Łatwiej teraz zrozumieć, dlaczego Ustjanowicz obrał właśnie ten przedmiot dla pierwszej prawdziwie artystycznej swej kompozycyji i dlaczego, mimo licznych niedostatków obrazu jego, stworzyć musiał coś prawdziwie wielkiego. Indywidualność Ustjanowicza stanowiłaby wdzięczny przedmiot do studjum psychologicznego.

Kwestja przemienności sił umysłowych, która tak bardzo zajmuje nowszą szkołę psychologiczną w Anglii, rozwiązana być może tylko za pomocą rozbiórów umysłowości współczesnych artystów, uczonych i działaczy. Leonardo da Vinci, Michał Anioł i Goethe, których genjusz wielostronny najciekawszą stanowi zagadkę dla badaczy owych, stają się zrozumialszyimi, kiedy spoglądamy na skromną postać tego Rusina, który umiał być agitatorom politycznym, poetą i artystą, który dziś mając lat 48 prawie skupił siły swe twórcze i poczyniwszy studja jak młodzian, stworzył dzieło o młodzieńczej sile. Takie postacie wydają tylko narody młode, w czasach, kiedy z ukrytych ich korzeni historycznych, wyrasta pień jawny i silny, kiedy ustalili się na pewnych centrach kulturalnych, walczą o samodzielność swą polityczną i o prawo rozwoju. Wówczas to powstają patrioci

i artyści, którzy robią dla narodu wszystko, czego potrzeba, wszędzie, gdzie potrzeba, szydząc niejako wielostronną swą działalnością z przyrodzonego prawa podziału pracy. Wówczas też duch artysty zwrócić się może ku przedmiotom tak potężnym, do jakich należy Mojżesz nadający dekalog ludowi hebrajskiemu; potrzeba być nie tylko artystą, ale i patriotą, pracującym nad podniesieniem młodego narodu, ażeby tak głęboko pojąć postać Mojżesza, twórcy narodu.

Największych i najwielostronniejszych artystów swych wydał naród włoski w czasach, kiedy wśród ciągłych zapasów politycznych za ledwie formować się począł samoisntnie. Jakżeż żywo przypominają się nam wywody Taine'a w »Filozofii sztuki włoskiej«, jakżeż żywo stają nam przed oczyma ci wszyscy artyści wędrowni, taki Benvenuto Cellini. Podobne warunki wytwarzają w przyrodzie i w historii ludzkiej sztuki podobne; różnicę powoduje tylko różnica materiału — w naszym wypadku to, że w duchu ludu włoskiego płynie o wiele głębiej strumień uzdolnienia artystycznego, aniżeli w umysłowości ludu rusińskiego.

Czas wreszcie porozumieć się co do samego dzieła Ustjanowicza. »Mojżesz« jego — zdaniem naszym — nie należy do tych utworów, które w morzu międzynarodowej i wszechwiekowej produkcji artystycznej, staną jako skały wyniosłe, niewzruszone, niezalane nigdy falą konkurencji lub zapomnień. Nie brak mu może do tego siły koncepcji — ale techniczny poziom tego dzieła i drugorzędne niektóre szczegóły, które wypadłszy ujemnie, stają się pierwszorzędną przeszkodą sprawiają, iż »Mojżeszowi« nie możemy przyznać cechy klasycyzmu.

Uczyniwszy to zastrzeżenie, nie wahamy się »Mojżesza« nazwać dziełem kompozycyjnie niepospolitem, dziełem głębokiej intuicji artystycznej i o rzadkiej sile technicznej.

Mojżesz przedstawionym jest na szczycie góry Synaj, w chwili, kiedy zgromadzonemu u stóp jej ludowi hebrajskiemu pokazuje święte tablice dekalogu. W pierwszej chwili nasuwa się widzowi głównie wrażenie kolorystyczne. Mojżesz stoi na brunatno-zielonawym odłamie skalnym; za nim w głębi fioletowe szczyty gór, cieniujące się ku zachodowi coraz jaśniej, przechodzące wreszcie w błękit różawiony promieniami słońca zachodzącego. Słońce to obleka promienną jakąś mgłą złotawą niebios zamykające widnokrąg ponad wzniesionymi ramionami Mojżesza, i rzuca światło czerwone na całą postać wielkiego pasterza ludu. Ramiona jego obnażone mają czerwień rozżarzonego żelaza; twarz obłana z prawej strony takimże światłem, które

na żebrach obnażonego tułowiu przyjmuje odcień ceglasty, a wzdłuż nogi prawej okrytej szatą wełnianą zlewa się strugą amarantową. Przyszyciwszy się do tej powodzi kolorów palących, rozpoznajemy dopiero dokładnie zarysy szlachetnie skomponowanej postaci Mojżesza, który wznosząc wysoko tablice dekalogu, naturalnym ruchem przegął się w pasie, nachylając tułów w stecz. Linje postaci tej układają się w niezrównanej harmonji. Wszystkie one symetrycznie zbiegają ku wierzchołkowi tablicy w prawej dzierzonyj dłoni, ramiona, tułów, biodra i nogi tworzą akkord harmonijny, prawdziwą muzykę linij. Oblicze Mojżesza, świadczące o duchu głębokim i niezłomnym, ale wyrażające nie boskość, jeno najwyższą potęgę ducha ludzkiego, przypomina rysami i układem muszkułów Mojżesza Michała Anioła, z tą różnicą, że z oblicza tego wyrugowanym jest wyraz dzikości, właściwy kompozycji Buanarottiego. Podobnie ruch długiej brody siwej przypomina rzeźbę Michała Anioła. — Strój Mojżesza, świadczy o sumiennych studjach w zakresie archeologii egipskiej i hebrajskiej. Z głowy sływa chustka z wełny delikatnej, przypominająca falesy żydów dzisiejszych; tułów i ramiona obnażone, nogi po pas okryte wolną, fałdzistą szatą wełnianą o szarawo-zielonawym kolorze, z ramienia lewego sływa ku ziemi płaszcz ciemny gruby, również wełniany; u nóg sandały.

Zaznaczyliśmy zalety kompozycji, siłę wyrazu, stosowność stroju Mojżesza. Potężne, dodatnie wrażenie, jakie całość sprawia na widzu, trudno opisywać słowami; jestto rzecz indywidualnego poczucia artystycznego. — Nam pozostaje jeszcze poczynić niektóre uwagi obiektywne o niedostatkach obrazu

Jako główną pomyłkę artysty uważamy oświetlenie w jakim postawił Mojżesza. Jestto światło zwykłego ognia bengalskiego, używanego po teatrach dla oświetlenia efektownych grup, lub obrazów żywych. Zważmy, że postać Mojżesza wznoszącego dekalog, przemawiać do nas powinna głównie, a nawet wyłącznie powagą własnej istoty, że potęgę jej wzmacniać winna w umyśle naszym myśl o historycznym znaczeniu tej postaci i tego aktu. O ileż potężniejsze wrażenie czyni na nas prosty, poźółkły marmur Mojżesza Buanarottiego, aniżeli ten Mojżesz, którego powagę nie zwiększa ale uszczupla owe bengalskie światło zachodzące słońca, przywodzące nam na myśl tandetę teatralną, dla której zamaskowanie zazwyczaj używanym bywa! Artysta rozumny i doświadczony liczyć może na asocjacje wyobrażeń u widza — na korzyść swego dzieła; ale artysta bardziej fantastyczny, aniżeli obliczający zimno, wywołuje podobnymi

efektami assocjacje wyobrażeń — niekorzystną dla siebie. Mimowoli przygląda się widz szatom Mojżesza, czy są z wełny, czy z płótna, czy obicia na pasie i sandałach są szczerze złote, czy teatralne, z blachy.

Niepodobna zapoznać, że oświetlenie to jest wyrazem ukrytej skłonności romantycznej, która drzemała w duchu artysty, póki z naturalistyczną sumiennością rysował postać Mojżesza i ubierał ją w szaty historyczne, ale która wybuchła wreszcie z całą potęgą rozmiłowania swego w wschodach i zachodach, w zorzach i świetle miesięcznym. Chciejmy wierzyć, że romantyzm ten i u artysty zachodzi, i że przyszłych utworów jego nie obleje tem nienaturalnem, sztucznem światłem.

Z niedostatków anatomicznych głównym wy-daje nam się być młodzieńcza siła i jędrność ramion Mojżesza. Ów Mojżesz, który podczas walki, chcąc utrzymać zachód słońca, podniósłszy ramiona wskutek starości opierać je musiał na towarzyszach; ów Mojżesz, który będąc starcem srebrnowłosym, ukazał się ludowi swemu po 40 dniach pustelniczego życia na Synaju, wynędzniały, umęczony, opadły z sił, mógłże mieć muszkuły tak świeże, młodzieńczą krwią ożywione, tak krągło puchnące pod wrażeniem napięcia? To nie Mojżesz żyłasty, wycieńczony, o muszkułach ostro się łamiących, ale model zdrowy i zbyt młody. — W jamie pod ramieniem wyniesionem, widzimy niewyraźne tony ciemne i refleksy czerwonego światła, ale nie widzimy włosów, które wyrastać tam powinny w obfitości. — Wreszcie, ażeby zakończyć szereg niedostatków anatomicznych, stopa prawa narysowana jest ponad proporcję całej postaci.

Zresztą dwie jeszcze niewłaściwości spotykamy w obrazie Ustjanowicza. Jedną fizyczną: dekalog wypisany jest na dwóch tablicach odrębnych, które Mojżesz wznosi ku górze, trzymając każdą palcami na brzegu bocznym. Jestto rzecz dla atlety nawet niewykonalna; byłaby prawdopodobniejszą, gdyby tablice kamienne były spojone, tak zaś czyni wrażenie wręcz niemożliwe. — Druga i ostatnia niewłaściwość, jest symbolicznej natury: obok Mojżesza, wije się na ziemi zielony wąż, towarzyszący starożytnym magikom egipskim. Używał go Mojżesz dla ukazania cudu Faraonowi, ale nie posługiwał się nim dla bałamutenia ludu hebrajskiego, którego przesady i zabobony wykorzeniał, ucząc go wiary w Boga jedyneho.

Wszystkie te uwagi, które poczynić musieliśmy dla ulżenia naszemu sumieniu krytycznemu, nie ujmują dziełu Ustjanowicza cechy wielkości, która wzbudza w nas silne przekonanie, że dzielny ten,

pełen jeszcze siły młodzieńczej artysta, stworzy w przyszłości dzieła kompozycyjnie równie głębokie a technicznie doskonalsze.

A. N.

## Z PIERWSZEJ WIELKIEJ WYSTAWY

SZTUKI POLSKIEJ W KRAKOWIE.

### *Malarstwo.*

(Dokończenie).

Głowa, na którą patrzymy od dziecka, głowa którą studjujemy najbardziej pozostanie na zawsze najtrudniejszą częścią ciała ludzkiego. Każdy z artystów, jaki niebądź tenże uprawiłby w sztuce kierunek, kusi się choćby od czasu do czasu na zrobienie portretu jeśli już niezwykłego studjum głowy. W turnieju artystycznym, którego areną była ostatnia »wielka wystawa« naliczyć można było około sześćdziesiąt portretów malarzy wszelkich kierunków.

Epoka zadawalniania się portretem tylko na podobieństwie opatym, siłącym się tylko o wrażenie powierzchowne, jakie natura pozująca daje, mija już nawet u nas z dniem każdym, a znakomite dzieła Rodakowskiego wymownie wskazują wymogi, jakie od portretu żądać należy.

Siemiradzkiego portret hr. Wodzickiego niesprostał tym wymogom i z poza zwykłej poprawności ani w rysunku, ani w malowaniu nie wybiegł. Szyndler Pantaleon w portrecie śp. Norwida wybornie naznaczył charakterystykę portretowanego, mimo czego nie zatracił potęgi w układzie portretu i śmiałego nader traktowania pod względem kładzenia farby. Również dobrą charakterystyką odznaczał się portret pani Ackermann, Pawła, Merwarta. Oba te portrety trzymane w ciemnej skali tonów odznaczały się wyborań plastyką i pewnem harmonijnem stopieniem kolorów. Różnym od tych był nadprogramowo w ostatnich dniach wystawy umieszczony portret panny Gr. pędzla Jacka Malczewskiego. Trudności, jakie sobie artysta w wykonaniu portretu tego zadał, dadzą się krótko określić. Zupewnie białe no zupełnie białem. Portretowana ma białą suknię, obłożoną białymi koronkami, w ręku trzyma wachlarz z białych piór strusich, a to wszystko na tle białem. Z powodu tego »białego w białem«, tej kolorystycznej bezbarwności całego portretu, głowa stała się podrzędną rzeczą, co na istotną tylko niekorzyść portretowanej wypadło. Gustownem zaaranżowaniem i swobodnem traktowaniem odznaczały się »Portrety dwojga sióstr Wojciecha

Kossaka. a stanowczy postęp uwidocznił się w «Portretach dzieci» p. Krzesza. Po raz pierwszy polskiej publiczności poznać się daje, jako zdolny nader portrecista p. Sandoz. Jego portrety, damy i mężczyzny, obok całej prawdziwie artystycznej wartości odznaczały się zachowaniem indywidualności portretowanych. Benedyktowicza, głowa kobiety nadzwyczajną prostotą swą w układzie jak i kolorycie wyrastała po nad zwykły poziom. Szembeka dwa portrety dam, mimo całej swej staranności i ubiegania się o wrażenie, niczem innem nie dopisały zamierzonemu celowi. Portrety Marcelego Krajewskiego odznaczały się elegancją w aranżowaniu nie pozbawioną jednak pewnej dozy pretensjonalności. Rutyna doświadczonego malarza przeważa nad sumienną obserwacją natury, która pod pędzlem artysty w szablonowość wpada. Podobieństwem rysów odznaczał się portret prof. Łuszczkiewicza malowany przez Romera. Zbyteknie jednak ubieganie się o wykonanie szczegółów twarzy zatraciło plastykę głowy. Mimo całej staranności, artysta nie umiał pokryć pewnej niepewności, jakiegoś dochodzenia, jakie ręką jego kierowały. Większą rutynę zdradzał portret Zacharjasiewicza przez Maliszewskiego malowany, ta jednak nie wyrwała go z poziomu najzwyczajniejszej miary tak zwanych mieszczkańskich portretów.

Bardzo dobrym a zdradzającym wielki talent autora, jest portret Adama Asnyka p. Sbrażyńskiego. Portret ten odznacza się uderzającym podobieństwem i wyborną charakterystyką — co prawda w rysunku środkowej części ciała jak i w staranności wykonania rąk, artysta portret ten zbyt szkicowo traktował. W całości jednak, a mianowicie w malowaniu martwej natury jest dużo obserwacji. Zdolności p. Lepszego korzystnie występują w portretach, z których głowa kobiety łączy wszystkie zalety sumiennego rysownika i dobrego kolorysty. Portret Reszkiego w roli Cyda, malowany przez p. Stykę malowniczym układem i pozą wkraczał w zakres obrazu. Czy p. Reszke jest Reszkiem czyli Cydem, z portretu trudno dociec; pozostaje się rysunek i malowanie, które co najmniej zdradzają dążenie do ścisłości i subtelnej pracy obserwacji. Obraz ten robi wrażenie pracy niedokończonej, przedwcześnie z pracowni na świat wyszłej. Tyczy się to nie tylko szczegółów, ale nawet ogółu rysunkowego. »Portret damy» p. Bierkowskiej chlubnie świadczył o talencie i postępie artystki. Układ, rysunek i koloryt tego portretu odróżniały to płótno od innych, a licznych portretów, a mianowicie od p. Machniewicza, w których traktowaniu przebijają się nawet pewna rutyna malarska. Ułożenie jednak osób portretowanych konwencjonalne i nie artysty-

czne. O wiele korzystniej pod tym względem wyglądał z ram portret kobiety p. Harasimowicza. Łaszczynski, Rejchan i Bryk dopełnią szereg dzieła tego, który jak z tego krótkiego przeglądu łatwo każdy dostrzeże, w ciągu lat dwudziestu stanął bardzo wysoko, a ilość artystów wykształconych, umiających wykonać portret wznoszący się po nad zwykły poziom, niech będzie dowodem wyższego stopnia wiedzy, na jakim malarstwo u nas stoi.

*Jacek Soplica.*

## Mieczysław Frenkiel.

Sympatyczny artysta sceny naszej, który bawił w ostatnich tygodniach w Warszawie na występach gościnnych, przyjmowanym był z ogólnem uznaniem. »Echo muzyczne« umieściło w »Galerji sylwetek teatralnych« niektóre dane z dziejów rozwoju pana Frenkiela, zrecznie skreślone piórem *Puka*. Z tą sylwetką chcielibyśmy czytelników naszych zapoznać.

— Podkreślam na mapie Galicji maleńkie miasteczko, Bochnię. Przenoszę tam akcję opowiadania i przypominam sobie, jakie wrażenie wywarł na tamtejszych mieszkańcach w dniu 29. maja 1885 roku przyjazd pięciu aktorów krakowskich i... jednego amatora.

Potrzebne mi jest to przypomnienie, gdyż Bochnia była pierwszym etapem podróży maleńkiej trupy, zamierzającej objechać wszystkie miasta Galicji, aby dowieść dyrekcji teatru krakowskiego, iż panna Pysznikówna wespół z p. Frenkiel, Rygiereim, Sobiesławem i Zapalowiczem, mogą podkopać fundamenty sceny krakowskiej, i że skoro p. Koźmian nie chce podnieść dyet na podróż do Tarnowa, to pięciu artystów zawiąże »stowarzyszenie komedji polskiej« i objechawszy Galicję, zapracuje na utrzymanie.

Stało się inaczej, nie zajechaliśmy dalej jak do Tarnowa, a gdy nam w Bochni pies zjadł rekwiwit do »Meża pieszczonego«, przekonano się, iż podróż taka wszystkich mężczyz, iż przyzwyczajeni do Berwalda i Czerskiej aktorzy nie potrafią usłużyć sobie sami, iż nawet p. Sobiesław nie zastąpi w budzie sullerskiej Czechowskiego, i że najlepszy inspicjent, udający dzwonek, lokomotywę i psa, nie zastąpi p. Janikowskiego, że w końcu Bochnia raz tylko dostarczy widzów za 100 złr. i że należy pomysleć o stałym miejscu...

Frenkiel znalazł się we Lwowie, a jego podróż bocheńska i gra Pankowskiego w »Po drodze« stoją po środku jego kariery, rozpoczętej w szkole Derynga, a doprowadzonej do przychylnego przyjęcia na scenie warszawskiej.

Warszawa, Kraków i Lwów — są to linje, po których posuwała się postać Frenkla, budząc w widzach wesołość i zbierając oklaski...

Ale, któż jest ów p. Mieczysław Frenkiel?

Wójt gminy Byszowa poświadcza w urzędowym dokumencie, iż 28 lat temu, 15. lipca 1859 roku przyszedł p. Mieczysław na świat, zaś władze szkolne potwierdzają pilność młodego chłopca w gimnazjum sandomierskiem.

W osobistych pamiętnikach młodzieńca znajdujemy czarną kartę, która bardzo ciekawych poucza, iż tam zapisano pierwsze dowody surowości ojcowskiej za nadmierne czytanie »Komedyj« Korzeniowskiego, tudzież za »naśladowanie głosu ptaków i figury szanownego proboszcza«.

Pomiędzy te karty, skoro są czarne... przyszedł Matieu w »Mężu na wsi« i Chappelard w »Serafinie« nie przeczuwał, iż zbierać będzie oklaski za to, za co pierwsi... lecz dalej nie znajdujemy już takich kart, bo rok 1878 przekonał domowników, iż »Mieci« porzuca studia w pałacu kazimierowskim i woli zarabiać ciężką pracą na chleb powszedni, byle mógł współcześnie chodzić do szkoły Derynga.

Pamiętam dzień czerweowy w r. 1879 kiedy Frenkiel, bez charakteryzacji, we fraku, przy świetle dziennem, grając Kryspina w »Jednej chwili« Jasińskiego, zwrócił uwagę wszystkich.

— Mój *Puku*, dość mam tych suchych dat i wspomnień; zapominasz, iż mówisz o komiku, niech to będzie — śmieszniejsze.

— Skończyłem z epoką, w której łaż była częstszym gościem na obliczu Frenkla, niż uśmiech... zjawiający się tylko na scenie... w kulisie było smutno a w domu nie wesoło.

— Radości zaczęły się w Krakowie, tak? Gdy go zaangażował Koźmian, nie prawdaż?

— Bynajmniej, nawet rolka Laszkiewicza, odegrana w d. 8. wrzesnia 1881 roku nie zaprowadziła zmian w jego życiu. Maleńki pokoik, zajmowany przez »kapitana« K. Zawadzkiego i Frenkla, rozbrzmiewał narzekaniami młodego komika, strzałami Zawadzkiego, który za cel obrał drzwi i w wolnych chwilach wprawiał się w pukanie i żołniersko-impertynenckimi przekleństwami kapitana.

Ale żyło się jako tako. *Goulasz* za 15 ct. i *halba* piwa stanowiły kolację, a 30-centowe objady Rzewuskiego były drugą rozkoszą po... hejnałach z wieży marjackiej i próbach ze ś. p. Rychterem...

— Nie widzę w tem nic śmiesznego, a przecie to życie komika.

— Rzeczy śmiesznych chcesz pan? W »Kościuszcze« statyści obili Frenkla, gdy stał w nie-

przyjacielskim obozie, a do dziś dnia pesymiści zanoszą się od śmiechu, gdy przypominają, jak »Rynio« (tak nazywano ś. p. Rychtera) kazał Frenklowi tragicznie powiedzieć po trzykroć »krew!« na widok zbroczonej chustki... ach! jest, jest uśmiech, są nawet dwa i bardzo radośne. Koźmian podwyższył gażę i p. Mieczysław wynajął na ulicy ś. Jana mieszkanie, do którego wprowadził matkę i siostry...

Był uśmiech ze łzami radości, była radość dobrego syna i uciecha pocziwej matki!... Doskonałe były te dwie fajki, które paliliśmy co dzień po obiedzie, on przed próbą, ja przed wykładem, świetne fajki! W kłębach tego dymu rodziły się projekty. »Miecio« (tak go matka nazywa) rósł pod powagę niskiego mieszkania i opowiadał, jak będzie grał rolę najnowszą.

— Okropnie się boję *soboty*, mówił — Koźmian męczy mnie bardzo... Może mi się uda... I udawało mu się zawsze prawie, a wieczorem za kulisami, Koźmian uśmiechnięty wchodził w antrakcie na scenę i głośno wołał:

— A widzisz, Frenkiel, dobrze ci doradziłem.

— Ale się nie śmiano, proszę dyrektora.

— Ale było dobrze, byłeś człowiekiem, taki być powinienes.

Taka była zasada krakowskiej szkoły. »Mężezono« i nie pozwalano szukania takich efektów.

»Podróżowania« (żyd), »Nowy dziedzic« (rola tytułowa), »Przyjaciel Fryc« (tytułowa), »Bezczelni« (Charrier), »Syn Giboyera« (Marechal), »Co chcecie« (Probierezyk), »Jak się wam podoba« (Czka-wka), »Menonita« (Mateusz), »Góra nasi« (Koziatyński), »Friebe« (Wiese), »Jacuś« (Óksen) i wiele innych ról stanowiły repertuar Frenkla w Krakowie.

— Wciąż nie słyszę nic śmiesznego.

Bo rzeczywiście nie nie było śmiesznego w życiu, które było — pracą. Obserwowanie ludzi odtwarzanie ich na scenie, kształcenie się w domu i życie rodzinne zapełniały tak te kilka lat pracy, iż nie spostrzegał się Frenkiel, jak po opuszczeniu Krakowa, zyskał we Lwowie też samą sympatją publiczności i jak niespodzianie niemal znalazł się na pierwszorzędnym stanowisku... Przy pracy czas tak prędko biegnie. Soboty w teatrze i srody w »kole literackim«, gdzie za monologi darzono go entuzjastycznymi oklaskami, zapełniały repertuar codziennego życia, w którym publiczność i krytyka znały dnie benefisowe.

A jakaż to radość, gdy oklaski wywołały go na scenę, jak się rozveselała ta twarz komiczna, niby paleta, na której malarz rozłożył wszystkie tony barw, jaka radość na ulicy Ś-to Jańskiej, lub dziś we Lwowie na Kotlarskiej, gdy beneficjent, oddając wieniec rodzinie, zasiada z nią do wiecze-

rzy, a oni patrzą mu w siwe, małe a rucbliwe oczki i radośnie i ciekawie dopytują — jak to było?

W macierzyńskim oku świeci łza radości, którą wywołały uśmiechy synowskie.

— A teatr, a koledzy, a intrygi?

— Frenkiel nie intryguje, kolegą jest dobrym, ale nie poświęca cygańskiemu życiu własnego czasu.

— I to jest komik? A ja sądziłem, iż życie komika...

— Jest jak życie każdego artysty, pełne wrażeń, zawodów, powodzenia, szczęścia i smutku — a wszystko to odbija się na wyrazistej twarzy Frenkla.

## Kronika literacka i artystyczna.

### Literatura.

— „Świat“, illustrowany dwutygodnik literacki i artystyczny, wychodzić zacznie od nowego roku w Krakowie, pod redakcją Zygmunta Sarneckiego, a artystycznym kierunkiem Piotra Stachewicza. „Świat“ zapowiada się w zupełnie odmiennej od dotychczasowych wydawnictw szacie i formie literackiej. Część artystyczna prowadzoną będzie na modłę francuzkich obrazkowych wydawnictw, a klisze ma wykonać słynny zakład Angerera w Wiedniu i Hofstangla w Monachjum.

— Ruch wydawniczy w Krakowie przeżywa wyłącznie w ręku firmy Żupańskiego i Heumar — która na gwiazdkę tegoroczną przygotowała cały szereg ciekawych wydawnictw.

— Nakładem redakcji „Kółców“ ukazał się kalendarz warszawski, będący wiązanką zabawnych rysunków i artykułów dowcipnych lecz zręcznych. Nosi on na sobie zwykłe piętno humorystyki warszawskiej, która obrabia tematy ogólnomażeńskie i specjalnie kobiece oraz miejscowe. Rysownicy i autorowie potrafili być weseli i zajmujący, nie używając nadto pinkaterji.

— W Warszawie ukazał się ostatni zeszyt dzieła Paul St.-Victora „Dwie maski“, w bardzo dobrym przekładzie Ant. Morzkowskiej.

— Pamiętniki Michała Czajkowskiego (Sadyka-baszy) znajdują się w posiadaniu jego córki p. Suchodolskiej, zamieszkałej w San-Stefano pod Konstantynopolem. Pani Suchodolska jako autorka kilku nowel, napisanych w języku francuskim, potrafi zapewne ocenić wartość pamiętników i drukiem je ogłosi.

— Świeżo w Moskwie, w teatrze Korszka wystawiono w przeróbce rosyjskiej komedję hr. Fredry „Wielki człowiek do małych interesów“. Sztuka, według doniesień dzienników miejscowych, miała powodzenie.

— Zawiazało się we Wiedniu nowe stowarzyszenie „Praca“, mające na celu pielęgnowanie języka polskiego, w szczególności zaś utrzymywanie nauczyciela dla nauczania dzieci polskich. Dążność tego stowarzyszenia wobec notorycznej germanizacji dzieci polskich w Wiedniu jest z pewnością chwalebna i pożyteczna.

— W wiedeńskiej akademji umiejętności przyjęto prace dra A. Adamkiewicza z Krakowa „Mittheilungen über Nerven-körperchen“ zalecającą się głębokimi studjami.

— Nakładem peszteńskiej akademji umiejętności, wydaniem wkrótce zostanie dzieło, napisane w języku łacińskim,

k którego autorem jest znany adacz dziejów kościelnych i znawca literatur słowiańskich Waldemar Schmidt z Suczawy. Dzieło to nosi tytuł „Romano-catholici per Moldaviam episcopatus et rei catholicae resgestae“ (in 8 maj. str. 163). Ma ono głównie za zadanie wyświetlić wpływy węgierski i polski na dzieje kościoła w Mołdawji; poważny to przyczynek do dziejów kościoła w Polsce; cały nakład oznaczono zaledwie na 200 egz.

— Na wzór znanej kieszonkowej lipskiej „Universal-Bibliothek“ Reclama jun., oraz sztutgardzkiej „Allgemeine Roman-Bibliothek“ Engelhorna, rozpoczyna jeden z księgarzy budapeszteńskich, z nadechodzącym Nowym Rokiem, wydawnictwo które nosić będzie tytuł: „Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej“ i ukazywać się będzie periodycznie zeszytami. Zasługuje na zaznaczenie dobór utworów w znacznej części zaczerpniętych z literatury polskiej, oraz piśmiennictw tejeż pokrewnych. Utwory wybrane do tłómaczenia, rozpadają się na następujące działy: I. Poezje. II. Dzieła dramatyczne. III. Romanse, powieści, szkice, podania ludowe. IV. Utwory humorystyczne, oraz V. Filozofja, historja, pedagogika i sztuki piękne. W powyższych działach znajdują miejsce utwory wszystkich niemal wybitniejszych autorów polskich. Co się tyczy literatury czeskiej, to z płodów takowej w kolekcji „Biblioteki“, o której mowa, ukazały się: „Nowele“ Swatopluzza Czecha, oraz tegoż autora: „Od książek i ludzi“, Bożenny Nemcowej: „Babka“; Jana Nerudy: „Obrazki rodzajowe“, oraz „Opowiadania małomiasteczkowe“ i w. in.

— „Gazette de Hongrie“ (wychodząca w języku francuzkim) pomieszcza cały szereg nader udatnych i rodzinnem iście ciepłem owianych sylwetek kobiet, działających na literackim, społecznym i wogóle — cywilizacyjnem polu we Francji, w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. W galerji tej wyróżnić szczególnie nam należy sylwetkę rodaczki naszej polki, nader mało zresztą znanej w rodzinnem jej kraju, pani Darjuszowej Poniatowskiej. Zdaniem rzeczzonego pisma, Poniatowska należała do najbardziej wykształconych kobiet naszego wieku. Umysł jej bystry, obejmował łatwo i do gruntu zgłębiał najtrudniejsze przedmioty. Poważne jej i we Francji nader rozpowszechnione dzieło, zatytułowane: „Katechizm wielki“, które wydała bezimiennie, świadczy o tem wymownie. Kilkanaście swych dzieł treści filozoficznej powierzyła ona w rękopiśmie w Hyères — zmartwychwstańcom, przed samą już swą śmiercią; dotąd cząstka zaledwie jedna z tych zbiorów oddana została na użytek publiczny. Darjuszowa Poniatowska — z domu Iwanowska — była rodem z Ukrainy. Więcej znana jako autorka zagranicą, aniżeli w kraju, mieszkała z powodu trapiącej ją choroby piersiowej, nad brzegiem morza Śródziemnego w Hyères, gdzie też w r. 1878 umarła. W Paryżu w r. 1861 wyszło dzieło: „Pologne et Ruthénie. Origines Slaves“. Obszerny „Opis panowania Bolesława Wstydlwego“, przez Dar. Poniatowską po polsku napisany, wydał już po śmierci nasz lirnik ukraiński Bohdan Zaleski w Paryżu.

— Niezależnie od drukującej się obecnie w kolumnach tygodniowego pisma „Der ungarische Israelit“ powieści Elizy Orzeszkowej pt. „Meir Ezofowicz“ w tłómaczeniu niemieckiem, inny tygodnik peszteński, a mianowicie „Egyenlőség“, redagowany przez znanego chlubnie dziennikarza Miksa Szabolcsi, pomieszcza węgierski przekład tejeż powieści.

### Teatr i muzyka.

— P. Mieczysław Frenkiel, artysta sceny lwowskiej, wystąpił przed obcą dla siebie warszawską publicznością i zyskał jednomyślne uznanie. Taka istotna, nie sztuczna, naturalna pochwała audytorium teatralnego, będącego doraźnem kryterjum

artystycznego popisu. stanowi ważne dla artysty świadectwo jego talentu.

— Nowości teatrów warszawskich: „Polowańko“, krotchwiła w 2-aktach Jordana, przedstawiona po raz pierwszy na widowisko benefisowe Al. Zółkowskiego, dane w teatrze Wielkim d. 20 listop. br.

— „Kaprys“, przysłowie dramatyczne Alfreda Musseta, wznowione w teatrze Rozmaitości d. 20 listopada br.

— „Ciężkie czasy“, farsa przez \*\*, przedstawiona w tymże teatrze tegoż dnia.

— „Farbowane lisy“, krotchwiła w 1-akcie. Michała Jezierskiego, przedstawiona po raz pierwszy w teatrze Nowym d. 24 listopada br.

— „Willa do sprzedania“, komedia w 1-akcie Labiche'a przełożona z francuskiego, przez R. Morozowicza, przedstawiona po raz pierwszy w tymże teatrze tegoż dnia.

— Kochańska śpiewa obecnie na koncertach nową Tarentelę Beviguaniego, o której dzienniki zagraniczne z wielkiem wyrażają się uznaniem. Stanowić ona będzie jeden z naszych przyszłych dodatków nutowych.

— W Zagrzebiu w teatrze przedstawiono jako nowość „Pannę mężatkę“ Korzeniowskiego w wybornym przekładzie J. E. Tomieza. Sztukę graną bardzo starannie, publiczność dobrze przyjęła, tylko krytycy chorwacy skwapliwie popisali się... sądem Midasowym. Krytyk „Viena“ np. cieszy się, że dyrekcja sięgnęła do repertuaru polskiego, ale dziwi się wyborowi i sądzi, że „Panna mężatka“ napisana w r. 1846 należy do słabszych prac Korzeniowskiego, a co do majora i ciotki, powiada, że podobne figury publiczność widziała już powielekroć... w rozmaitych sztukach niemieckich.

— We Wiedniu wystawiono z succès d'estime „Cydla“, Masseneta. Tytułową rolę odśpiewał Winckelmann, chorą od pewnego czasu Lucę, zastępowała panna Schläger.

— Biancha-Bianchi zbiera obecnie laury w Peszcie. Campannini, słynny tenor włoski, śpiewa w Ameryce. Znacomity skrzypce Remenyi zbiera oklaski i złoto w Chinach, Indji i Australji. Talazac i panna Nevada śpiewają z wielkiem powodzeniem w Lizbonie.

— Nowa gwiazda wokalna, piętnastoletnia Nikita daje koncerty w całych Niemczech z wielkiem powodzeniem.

— Filip Scharwenka wykończył operę rycersko-romantyczną „Roland“.

— W Berlinie powstało nowe pismo dwutygodniowe „Bühnenwelt“, poświęcone muzyce i teatrowi; w Dreźnie dwutygodnik „Kunstwelt“, zajmujące się również teatrem, muzyką i sztuką plastyczną.

— W operze berlińskiej prawną nad wystawieniem kilku premier. Pierwsze miejsce zajmuje pomiędzy innymi: „Junker Heinz“ Perfalla i „Medea“ Gottera.

— Dyrekcja berlińskiego Künstlerhansu daje w bieżącym miesiącu koncert 4000.

— W Mannheimie wystawiono nową operę Ferdynanda Langera: „Murrillo“. Rzecz ta melodyjna, liryczna, w duchu dawnych oper włoskich skomponowana, doznała nader sympatycznego przyjęcia.

— Przedstawienia w Bayreuth będą miały miejsce od 23. lipca do 19. sierpnia 1888 r. i będą się składały z „Parsifala“ (9 razy) i „Meistersingerów“ (8 razy).

— Władza kościelna w Monachjum zabroniła przedstawienia „prologa w niebie“ w operze Zöllnera „Faust“.

— „Ludwik II. król bawarski“. Oto treść dramatu, napisanego przez pana Klinger. Akt I. pierwsze przedstawienie „Lohengrina“ w Monachjum. Akt II. „Przestrogi matki“ czyli Ryszard Wagner w buduarze. Akt III. zaręczyny króla Lu-

dwika. Akt IV. „Faworyt królewski“. Akt V. obraz I. arszłowanie króla w zamku Schwanstein. Obraz II. Katastrofa na jeziorze Starnberg. Apoteoza: „Ludwik bawarski na katarfalku“ z oświetleniem.

— W Paryżu dnia 7. października odbył się pierwszy koncert, mający stanowić jakoby cykl koncertów historycznych, streszczających dzieje muzyki. Pan Daube dyrektor poświęcił pierwszą „seance“ muzyce francuskiej. Lulli, Campra, Desfontches, Rameau, Mauret, Bertou, Marais, Catel zapełnili program. Wśród archaicznych utworów, z których niektóre brzmiałyby nadto naiwnie, wyróżniły się zawsze piękny gawot z baletu „La raillerie“, Lully „Cendrillon“, Nicole'a i „Branle du village“ Maraisque.

— Teresina Tua, pomimo wielkiej, iście amerykańskiej reklamy, pomimo rozdania 10.000 egzemplarzy jej fotografii i życiorysów w chwili przybycia, nie wywarła swą grą w New-Yorku wielkiego wrażenia.

— W modjolańskim teatrze Pessana, budzi podziw cudowne dziecię, dziesięcioletnia Anita Mazzoli, która gra komedje po włosku, angielsku i niemiecku, ślicznie śpiewa szansonetki, a obok tego gra na fortepianie i na gitarze.

— Głośno reklamowana opera włoska Samary „Flora mirabilis“, która miała stanowić najpoważniejszy dorobek włoskiej muzyki ubiegłego roku, wystawioną została obecnie w Kolonji i tu doznała zupełnego niepowodzenia. Muzyka, kompilująca znane motywy w sposób mdły i konwencjonalny, została przyjętą głośnie sykaniem.

\* \* \*

#### Sztuki plastyczne.

— Na wystawie obrazów A. Krywulta w Warszawie od 1. grudnia wystawiono nowy obraz Franciszka Żmurki p. t. „Mandolinata“ oprócz będącego już obecnie obrazu p. t. „Pod wpływem haszyszu“. Nadto przybyły do tego salonu następujące obrazy: Tytusa Maleszewskiego „Studjum“, Franciszka Kostrzewskiego „U wód“, Józefa Pawłowskiego „Widok z Bekszowej góry w Wilnie, w czasie zaćmienia słońca w sierpniu r. b.“ oraz tegoż „Modlitwa po pracy“.

— Mieszkający w Wiedniu architekt polski p. Niedzielski zbudował w Wiedeńskim kościele „Schottenkirche“ bardzo gustowny ołtarz. P. Niedzielski brał jako architekt wybitny udział przy budowie nowego gmachu uniwersyteckiego.

— Na Korsycie znaleziono drugi egzemplarz aredydzieła Rafała, znanego pod nazwą „Madonny sykstyńskiej“ i przywieziono go do Augsburga. Obraz ten, odznaczający się żywym kolorytem i wszystkimi zaletami rafaelowskiego pędzla, różni się od oryginału drezdeńskiego w niektórych szczegółach, np. światło zebrane najsilniej około głowy Madonny, draperje s roju układają się inaczej, twarz Barbary jest węższą, Sykstus mieści się nieco wyżej. Obraz w znacznym stopniu zniszczył to aredydzieło, malowane na tkaninie damasceńskiej, cechy jednak pędzla mistrzowskiego występują zupełnie wyraźnie, nie pozostawiając wątpliwości, że jest to oryginalna praca Rafała.

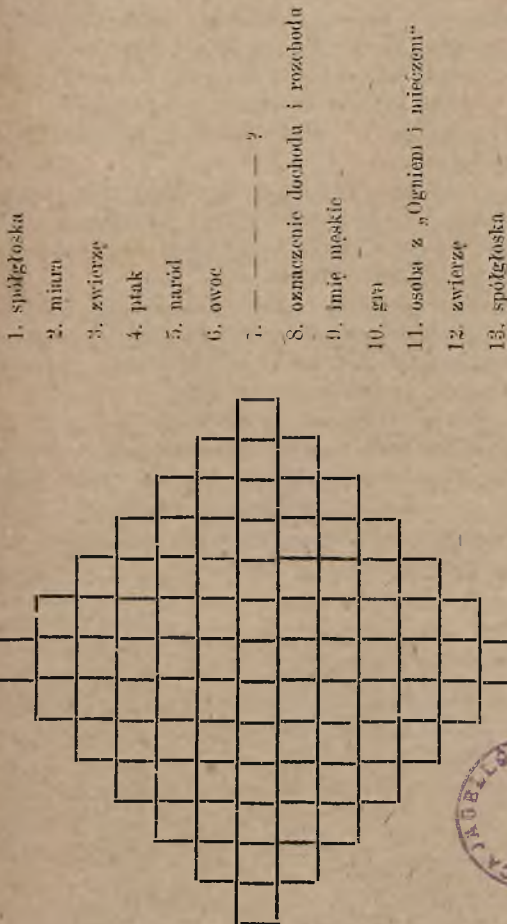
\* \* \*

#### Zmarli.

— Karol Grzegorz Macfarren znany profesor harmonji, pianista i kompozytor, zmarł w Londynie dnia 1. listopada w 75. roku życia. Z rodziny znanej zaszczytnie w dziejach muzyki, zmarły odznaczył się również na tem polu. Niedługo wcześn. Hummla, od 50 lat mieszkał stale w Londynie jako profesor nadworny. Piosnki jego i salonowe „pięćcy“ cieszyły się w Londynie dość znacznym powodzeniem. Macfarren cenionym był również jako autor podręcznika „O harmonji“.

# ZADANIA.

## I. Łamigłówka.



Litery środkowe z góry na dół i w poprzek czytane dają nazwisko i imię polskiego powieściopisarza.

### Zadanie do odcyfrowania.

Idrybyd Onkrjz mhd yfhmdłz  
Onjh łw ywidłw  
Bn mzl nabz opydłnb uyhdłz  
Rhlz ncahdpydłw.

Litery poszczególne zastąpić wedle pewnej zasady innemi literami abcedała.

## Rozwiązanie zadań z XXIII. zeszytu.

### Zadanie konikowe.

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę gdzie graniczą stwórca i natura!

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Soroczyński Kuty, Zadurawicz Stanisławów, Dziewoński Jarosław, Łobos Miłowka, Gaszyńska Żelazówka, Głębocki Poznań, Wurst Kossów, Bernacka Kraków.

Przy losowaniu premję wygrał p. Marcin Głębocki w Poznaniu.

### Łamigłówka.

#### Konstanty Gaszyński.

Trafne rozwiązania nadesłali pp. Bugno Lwów, dr. Orłowski Przemysł, Jabłoński Burkanów, Dziewoński Jarosław, Hexel Lwów, Łobos Miłowka, Nitsch Kraków, Barański Kraków, Lehman Wyźnica, Krones Kraków, Argasińska Stanisławów, Małachowski Lwów, Kluczyński Witowice, Gaszyńska Żelazówka, Rydel Rzeszów, Hausser Kołomyja, Wurst Kossów, Bernacka Kraków.

Przy losowaniu premję wygrał p. Oskar Barański w Krakowie.

### Korespondencja Redakcji.

**WP. Zad: Stanisławów.** Premje za rozwiązanie zadań bywają losowane. Za kaprysy losu redakcja oczywiście nie jest odpowiedzialną.

**Kółko młodzieży w Cieszynie.** Prosimy o dokładny adres.

*Za rozwiązanie łamigłówki przewidziana jest premja: W. Rapackiego „DO ŚWIATEŁA“.*

*Za rozwiązanie zadania do odcyfrowania DZIEŁA KAJETANA WĘGIERSKIEGO.*

**Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU“ upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.**

**TREŚĆ:** Piekietko, powieść Michała Wołowskiego. — Poezja: Z wizyj, A. Langeo — Ruch naukowy: Język powszechny. Polska z czasów przedhistorycznych pod względem fizjograficznym i gospodarskim, przez dra Józefa Rosta-stafińskiego. — Wspomnienia więźnia (1876—1885) spisał Florjan Boldanowicz. — Kronika powszechna. — Ruch kobiecy: Małgorzata Fuller. O robotach ręcznych. Romans starego Smitha, nowelka z angielskiego. Kroniczka dla kobiet. — Ruch literacki i artystyczny: Uniwersytet Jagielloński, przez St. Błotnickiego. Kornel Ustjanowicz i jego „Mojżesz“, nap. A. N. Z pierwszej wielkiej wystawy sztuki polskiej w Krakowie. (Malarstwo), napisał Jacek Soplica Mieczysław Frenkiel. — Kronika literacka i artystyczna. — Zagadki. Rozwiązania. — Korespondencja redakcji. — Ogłoszenia.